Nr. 29. Warszawa, dnia 10 (22) Lipca 1899 r. **Rok XIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70. kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Wrzenie we Francyi. — Tydzień polityczny. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Pogotowie ratunkowe. — Listy petersburskie, p. Pawła Krzyżanowskiego. — Kronika krakowska, p. Caeca. — Listy z Paryża, p. B. — Nowe prądy oświaty, p. K. R. Ż.— FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Nowa „Historya powszechna,“ p. H. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura polska, p. dr. W. R. — Juliusz Kossak, p. Michała Mutermilcha. — Notatki literackie i artystyczne. — POEZYE: Dola, p. Adama M—skiego. — SPRAWY EKONOMICZNE: Robotnicy wędrowni w rolnictwie, IV, p. dr. J. B. Marchlewskiego. — W dali. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Wrzenie we Francyi.

Spełzła w dniu pogrzebu Faure'a, 23 lutego r. b., demonstracya Deroulede'a i Haberta—rozpaliła w samowiedzy publicznej republikanów poczucie niebezpieczeństwa, grożącego rzeczypospolitej od stronnictw monarchicznych. Jak pokazały nazwiska obu działaczy, którzy natarli w owym dniu na generała Rogeta i jego oddział, wracający z pogrzebowej parady, trzyma z nimi również i stronnictwo, czy też gromada, nazywająca się „nacyonalistami.“ Mówimy „stronnictw monarchicznych,“ nie trzeba bowiem zapominać, że obok poważnego kandydata, jakim jest książę Filip Orleański, występuje i przedstawiciel Bonapartydów, książę Wiktor Napoleon. Każdy z nich chce mieć swój tron osobny, dla siebie; do jednego obaj naraz kandydatami być nie mogą, jeden drugiego wyłącza. Przed kwestyą: kto kogo uprzedzi, czy prześcignie? idzie inna: kto prędzej swój własny tron ustawić zdoła? Każdy z nich wlecze za sobą swój orszak z przyjaciół szczerych i z poszukiwaczy szczęścia i złota złożony. W krainie przyszłości, na terytoryum marzeń dwie aż monarchie, nie jedna, wznoszą swe budowy.

Ale przeciwko rzeczypospolitej występuje tylko jedna — monarchia jako ideataran na istniejący porządek czy nieporządek rzeczy. Nie było jednego głosowania ważniejszego w Izbie deputowanych, w któremby obie monarchie przyszłości nie tworzyły jednego zwartego obozu. Lgną też do nich zawsze nacyonaliści, skłonniejsi do bonapartyzmu plebiscytowego, ale gotowi szczerze służyć i orleanizmowi, gdyby mu się tylko poszczęściło. W Izbie sojusz tych trzech potęg dotychczas nie stał się jeszcze groźnym — i przy dalszym dopiero procesie rozkładowym prawego środka mógł nabrać niszczącej siły; ale w armii i w narodzie, w instytucyach samorządowych, w dziennikarstwie i w działalności wogóle publicznej — dzięki sprawie Dreyfusa monarchiści poczynili w ubiegłym roku wielkie postępy. Armia, mająca w sobie dużo żywiołów pańskich i staro-szlacheckich, rozzłoszczona napaściami na to, co uważała za swój honor, dostarczyła licznego zaciągu pod sztandar orleański. Okazuje się teraz, że cnotliwy republikanin Roget był z Déroulède'm i Habert'em w zmowie i tylko zawód, jaki tym panom sprawił drugi generał, Lamy — uchronił Elizeum od zbrojnej napaści, która miała wyjść ze zmowy. Przeniesienie Rogeta na prowincyę — było cichem ukaraniem go za występne knowania.

Nawet taki Marchand, wydęty bohater z krainy podróżnikowej w Afryce, wyrasta powoli na przewodnika, na proroka Francyi wskutek zagnieżdżenia się w armii sympatyj monarchicznych już po za obrębem tradycyj rodowych i związanego z niemi osobistego ciążenia do Bonapartydów lub Orleanidów. Gdy nawet taki Marchand wysuwa się już na czoło i wzywa armię do obrony sztandaru od zewnętrznych i „wewnętrznych“ wrogów, sprawa musi stać już niedobrze. Mowa tej pajęczynowej wielkości w Fontainebleau, perorowanie Déroulède'a w Château d'eau paryskim d. 16 b. m. o konieczności plebiscytu ludowego, pociągają przedewszystkiem umysły w armii, gdzie też krnąbrność, zwłaszcza wobec ministrów cywilów jest stałą, choć utajoną, zasadą. Stopnia napięcia namiętności w całym obozie dowodzi i sama awantura wyścigowa, zrobiona przez Christianiego. Szczęściem, że obecnie prezydenturę sprawuje człowiek szczerze do republikańskiej formy rządu przywiązany, przezorny i nielękający się pewnej stanowczości w dobieraniu ludzi i kierowaniu sterem: za Faure'a, za nieuniknionego przy Faurze Méline'a — propaganda nieprzyjazna rzeczypospolitej znalazłaby pomyślniejsze dla siebie warunki. Samo przenoszenie oficerów dla dobra służby — dokonywane przez rząd obecny, poprzedniemu wydałoby się albo niemiłem, niezgodnem z przekonaniami i popędami, albo też zbyt zuchwalem.

Niesubordynacya zaczyna już sięgać do warstw niższych, do żołnierzy. Zajścia w Cherbourgu, w d. 14 i 15 b. m., w których wojsko musiało występować przeciwko wojsku, aby przywrócić porządek — zapowiadają ten stan rozkładu, w którym armia przestaje być jednym, w jeden ruch wprawianym mechanizmem, jedną na usługi narodu, jako niepodzielnej całości, oddaną jakby żywą istotą — i zaczyna się rozkładać na mniejsze i większe indywidualizmy. Niechaj jeszcze wyrok w Rennes, spodziewany na początek września, wypadnie przeciwko Dreyfusowi: a całe to podziemne życie ogromnie spotężnieje, rozzuchwali się, wyjdzie z podziemi i silne powodzeniem, wsparte na wyroku sprawiedliwości — o której nikt już nie będzie mógł powątpiewać — rządami cywilnymi adwokatów i dziennikarzy wstrząśnie. Francya przedstawi wtedy dziwną grupę: polityki wdzierającej się do armii i armii wdzierającej się do polityki na gruncie już nie społecznym, ale państwowym. Ogłoszony przez *Gazette de France* raport byłego prefekta policyi w Paryżu, Blanca, do generalnego prokuratora odsłania tak głęboki już podkop pod rzeczpospolitą, że czas wielki, aby obleżeni pomyśleli o wy-

cieczce, zdolnej na dłuższy czas napastników nieszkodliwymi uczynić. W lutym już, w razie udania się awantury Déroulede'a, a choćby tylko rozmiesienia się wydanego przezeń hasła, ks. Filip miał z Belgii powrócić na tron Ludwika Filipa. Uspokojenie obu jawnotwórców zamachu w d. 23 lutego przez sąd przysięgłych — mogło tylko wzmocnić te nadzieje, z których w umysłach republikańskich rodzić się muszą stałe obawy.

Tydzień polityczny. Jeden z Volksraadów transwalskich uchwalił wniesiony jeszcze w czerwcu przez rząd projekt uobywatelenia cudzoziemców: 1) zaraz, wszystkich od lat 7 zamieszkałych; 2) w przyszłości wszystkich mających za sobą wogóle zamieszkanie 9-letnie lub 3) 5-letnie od dnia ogłoszenia prawa. Nie wystarcza to jeszcze Chamberlainowi: zatelegrafował do Milnera, gubernatora Przylądka, aby w punkcie 1-m zażądał lat 5; chce koniecznie wojny, i to wojny prowadzonej po barbarzyńsku, kulami *dum-dum*, których rząd angielski nie chciał się wyrzec w Hadze, a bronił pogardliwem milczeniem lub wykrętnem słowem na niedawnem posiedzeniu Izby gmin, gdy Irlandczyk, Davitt, wydał okrzyk: „hańba!“ Większość Izby wówczas zaśpiewała także piosnkę dzikości. Nawet działka Maxime'a dostają naboje rozrywające. W bezkarnem usprawiedliwieniu bezeceństwa koniecznością, czuć jakby upadek Anglii dawnej, rządzącej się humanitaryzmem, nawet w popędach polityki zewnętrznej. Chamberlain musi być kompanem handlowym Rhodesa: stąd zaciekłość.

W Białogrodzie stan oblężenia, sądy doraźne, skazujące na śmierć. Milan kazał wysłać do siebie deputacyę dziękczynną. Chwieją się i tron i dynastya. Do spisku należał Bożo Petrowicz, brat przyrodni księcia Czarnogórskiego; dyplomacya wyjednała mu bezkarność: będzie tylko odstawiony do granicy. Nie był pewno obcym sprawie i Piotr Karadżeordzewicz. Uwięzionych ma być 80, rząd przyznaje się tylko do 38. Król Aleksander jeszcze niby panuje, ale wszystkiem napowrót jest Milan. Za wcześnie widocznie abdykował, ma dużo nagromadzonej w sobie energii.

Ks. Czarnogórski, dla upamiętnienia uroczystości ślubu swego syna, następcy tronu, nadał całemu krajowi samorząd gminny.

Stany Zjednoczone amerykańskie odmówiły żądanego przez Austryę wynagrodzenia dla rodzin, pomordowanych przez policyę pensylwańską w Hazzleton w r. 1897, poddanych austryackich, przeważnie Polaków i Słowaków. Austrya przyjęła odmowę z rezygnacyą. Musiała też i z rezygnacyą stawiać swe żądanie.

D. 14 b. m. we Francyi sprowadził zaburzenia w Cherbourgu z udziałem żołnierzy; mowę Deroulede'a o pomniku Strassburga, przeglądy wojsk i deszcz legii honorowej, chciwie chwytanej przez naród. Esterhazy ogłosił nowe jakieś zwierzenia swoje i swego brata, Krystyana, w *Matin*. D. 10 sierpnia ma się zacząć proces. D. 10 b. m. Loubet ułaskawił gen. Gilettę.

D. 15 b. m. Niemcy wiedeńscy napadli na Sokołów czeskich. Najdzielniejszym patryotą i mężem stanu nad Dunajem jest kelner restauracyjny, Mittermaier.

W Monachium do Izby niższej wybrano 11 socyalistów i 83 katolików z centrum. Oba stronnictwa pomagały sobie wzajemnie. Sojusz ten wywołał oburzenie. Liberalni zupełnie pobici; utrzymało się ich tylko 45. W całej Izbie jest 159 posłów.

D. 14 b. m. w Capetown zebrał się parlament. Stronnictwo holenderskie jest w nim silne. Te „Africandery“ mogłyby uratować Transwal od zagłady, gdyby koledzy Chamberlaina mieli zostawić mu wolną rękę. Z powstaniem własnych Holendrów rząd angielski liczyć się będzie musiał.

Konferencye w Hadze za jaki tydzień będą już należały do przeszłości.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POGOTOWIA RATUNKOWE.

Sympatyczna instytucya społeczna, pomimo że istnieje jeszcze bardzo krótko, zdołała jednak tak szybko się rozwinąć, wykazać tak dalece swoją działalność pożyteczną, że zwróciła na siebie uwagę powszechną daleko po za granicami kraju i stała się przykładem dla innych. Obecnie myśli już ona o własnym gmachu. Świadczy to tylko, jak potrzeby były wielkie i jak gwałtownie wymagają one zaspokojenia. Świeżo powstała taka sama instytucya w Łodzi. Tak więc dwa największe i najbardziej ożywione ogniska życia w Królestwie Polskiem posiadają dziś niezbędne organizacye pomocy ratunkowej.

Są one z jednej strony wytworem rozwoju życia i jego form społeczno-ekonomicznych, z drugiej — świadectwem poczucia humanitarnego w społeczeństwie. Nie należy jednak poprzestać na tem. Wszystkie zbiorowiska, wszelkie ogniska pracy w naszym kraju powinny posiadać takie pogotowia. Znaczenie i rola ich są wielostronne. Przedewszystkiem dają one odrazu bardzo zaszczytne i ważne stanowisko młodym lekarzom, rzucają ich w wir obowiązków obywatelskich i ułatwiają rozległą praktykę, na jaką nawet lekarze doświadczeni po wielu latach nie mogą się zdobyć. Nadto, niosąc pomoc ludziom w nagłych wypadkach, ocalają bardzo wielu od śmierci i kalectwa, zapobiegają tedy zubożeniu produkcyjnych sił ludzkich i uwalniają społeczeństwo od wielkiego ciężaru, który musiałby dźwigać.

Jesteśmy obecnie w okresie wielkiego i gorączkowego rozwoju różnych i licznych gałęzi przemysłu i przedsiębiorstw wszelakich, w których jednocześnie wzrasta niebezpieczeństwo. Udoskonalenia techniczne dążą tylko do uproszczenia i zarazem zwiększenia intensywności produkcyi, nie mają zaś wcale na względzie bezpieczeństwa pracowników. Skutkiem tego właśnie wypadki nieszczęśliwe stały się dziś zjawiskiem codziennem we wszystkich ogniskach pracy. Co się tyczy przemysłu fabrycznego, prawodawstwo zwróciło na to uwagę i stworzyło przepisy, pociągające do odpowiedzialności fabrykantów i przedsiębiorców za śmierć lub kalectwo robotników podczas pracy w zakładzie. Ale to nie usuwa całkowicie złego. Są bowiem kategorye wypadków, które uwalniają fabrykanta od wszelkiej odpowiedzialności. Ma on bowiem możność udowodnienia, że robotnik doznał kalectwa lub zginął z „własnej nieostrożności.“ Zresztą istnieje dziś już mnóstwo takich gałęzi produkcyi pracy fabrycznej, w których nawet najlepsze środki ochronne nie zabezpieczają od wypadków, także zaliczonych do kategoryi „własnej nieostrożności.“ W gruncie rzeczy najostrożniejszy robotnik zawsze jest narażony na niebezpieczeństwo. Niech tylko trochę znuży się jego uwaga, niech osłabnie siła mięśniowa, a wnet stanie się on ofiarą „własnej nieostrożności.“ Przypuśćmy, że prawodawstwo zastąpi sumienie i poczucie obowiązków społecznych, tj. za pomocą surowych środków zmusi wszystkich fabrykantów i przedsiębiorców do wprowadzenia wszelkich najradykalniejszych i nawet najkosztowniejszych środków ochronnych; to i w takim jeszcze razie będzie się zdarzało mnóstwo wypadków, którym w żaden sposób zapobiedz nie można. Pękanie kotłów, wybuchy w kopalniach i fabrykach itd., wreszcie wypadki pochodzące istotnie z nieostrożności robotników, stworzą poważną sumę nieszczęść, które ubożyć i obarczać będą społeczeństwo. Należy więc w jakikolwiek sposób zło łagodzić. Otóż jednym ze środków zbawiennych i skutecznych są pogotowia ratunkowe. Trzeba je stworzyć we wszystkich ogniskach fabrycznych, we wszystkich miastach naszego kraju i to w ten sposob, ażeby działalność owych instytucyj ogarnęła także szeroki promień okolic. Fabrykanci, przedsiębiorcy, rolnicy (zwłaszcza ci, którzy używają maszyn skomplikowanych i posiadają fabryki), właściciele warsztatów, koleje żelazne itd. powinni się przyczynić materyalnie do stworzenia tej organizacyi spiesznej pomocy lekarskiej w całym kraju. Również w tym celu należałoby opodatkować wyścigi konne i inne rodzaje sportu, przyczyniającego się do wypadków nieszczęśliwych.

Instytucye takie będą miały doniosłe znaczenie nietylko społeczne, lecz i ekonomiczne. Przedewszystkiem, jak rzekliśmy, zmniejszy się w całym kraju liczba ludzi niezdolnych do pracy, obarczających nadmiernym ciężarem społeczeństwo, pośrednio lub bezpośrednio. Często bowiem szybka i energiczna pomoc przywraca rodzinom ich opiekunów i ojców-żywicieli, gdy przeciwnie — w braku natychmiastowych środków zaradczych staliby się oni niedołęgami, obarczającymi rodziny, pozbawione środków istnienia, lub przepełniającymi wszelkie przytułki dobroczynne. Następnie ci lekarze, którzy na wsi i w małych miasteczkach muszą walczyć z niedostatkiem, felczerami, znachorstwem i niewiarą mieszkańców, oraz ci, którzy pozostają w niewielkiem mieście — bez praktyki, znajdą bardzo szerokie pole działalności i zapewnioną pensyę stałą. Tym sposobem wywalczą sobie trwałe stanowiska, zaufanie i sympatyę ogółu.

Do zorganizowania takich instytucyj w całym kraju należy się zabrać możliwie najspieszniej i zacząć zabiegi od opracowania ustawy na wzór warszawskiej, nieco zmienionej w szczegółach, stosownie do warunków danej miejscowości. Zadanie to powinno wziąć na siebie warszawskie Towarzystwo hygieniczne. Inicyatywa, wyszedłszy z poważnej instytucyi, łatwiej znajdzie środki i poparcie, niż projekty i zabiegi osób pojedynczych. Za kilka tygodni, po wakacyach, zbudzą się do życia i czynu wszystkie uśpione obecnie towarzystwa społeczne i ekonomiczne. Będzie to najodpowiedniejsza chwila do przedsięwzięcia zabiegów około wprowadzenia naszej myśli w czyn.

LISTY PETERSBURSKIE.

Reformy: Kredyt melioracyjny, ministeryum komunikacyi, inspekcya fabryczna. — Wielowładztwo i wielonaczelnikostwo.

W r. 1896 rada państwa zatwierdziła jakby sposobem próby, na trzy lata, „kredyt melioracyjny.“ Obecnie okres próby minął z rezultatem oczywiście jaknajniekorzystniejszym, co zresztą łatwe było do przewidzenia, gdyż całą organizacyę z gruntu stworzono wadliwie. Mianowicie pożyczki postanowiono wydawać za pośrednictwem ministeryum rolnictwa: 1) na osuszanie, nawadnianie pól i łąk, na wzmacnianie brzegów rzek i wąwozów tudzież na zadrzewianie piasków; 2) na zakładanie ogrodów owocowych i winnic. O pożyczki mogły się starać: ziemstwa, gminy wiejskie i właściciele ziemscy. Przedewszystkiem jednym zasadniczym błędem było to, że rodzaje robót melioracyjnych zanadto ograniczono; następnie zaś wyjednanie pożyczki najeżono formalnościami prawie niemożliwemi do przebycia. Kandydat musiał poddać dokładnym badaniom swoją osobę i stan majątkowy, musiał podpisać groźbę sekwestru, tudzież zgodzić się na niesłychanie drobiazgową kontrolę w zakresie właściwego zużytkowania sumy, pożyczonej na melioracye, wykonywania robót i wielu, wielu najdrobniejszych szczegółów.

Takie warunki były uciążliwe zarówno dla pożyczkobiorców, jak i ministeryum, które niejednokrotnie musiało prowadzić korespondencyę zbyt długą i jałową. Pożyczkę brali tylko nieliczni szczęśliwi, rzec można — wypadkowo. Tak np. w ciągu pierwszego roku z 400 podań wniesionych do ministeryum, odrzucono przeszło 300. Ci zaś, którzy otrzymali kredyt, niewielką mieli z niego pociechę, gdyż zbyt szczupły zakres ulepszeń i robót, wskazanych w przepisach, nie pozwalał na żadną samodzielność, istotnie pożyteczną i właściwą w danem gospodarstwie. Nic dziw tedy, że z miliona funduszu, wyznaczonego na kredyt tej kategoryi, pozwolono udzilić 56 pożyczek na sumę 242,000 rb., udzielono zaś w rzeczywistości ogółem zaledwie 85,000 rb.

Obecnie, po stwierdzeniu tych wszystkich wad i omyłek, ministeryum rolnictwa opracowało projekt przekształcenia kredytu melioracyjnego w sposób następujący: Zakres pożyczek powinien być znacznie rozszerzony. Mianowicie należy je udzielać: 1) na zakładanie winnic, nabywanie potrzebnych naczyń, wznoszenie budowli do produkcyi i wystawania wina. 2) Na zakładanie ogrodów owocowych i nabywanie przyrządów do suszenia owoców. 3) Na urządzanie rolniczych zakładów technicznych (fabryk masła, krochmalu itd.). 4) Na leśną produkcyę techniczną. 5) Na nabywanie bydła rasowego. 6) Na zabudowania gospodarskie. 7) Na sztuczne urządzania łąk. 8) Na karczowanie zarośli w celu stworzenia pastwisk i sianokosów. 9) Na osuszanie błót. 10) Na roboty irygacyjno-gruntowe. 11) Na unieruchomianie piasków, tudzież wzmacnianie brzegów rzek i wąwozów. Pobierany dotychczas procent od pożyczek melioracyjnych, 4%, ministeryum uznało za zbyt wysoki i postanowiło zniżyć do 3%. Wreszcie co do zabezpieczenia sum pożyczonych, uznano za niesłuszne i uciążliwe obarczanie aresztami majątków, kazano tedy znieść te warunki, przynajmniej na razie przy udzielaniu pożyczek mniejszych. W ten sposób przekształcony kredyt da możność towarzystwom rolniczym i ziemstwom uczestniczyć żywiej w pośrednictwie między ministeryum a właścicielami ziemskimi-pożyczkobiercami. Wreszcie w zakresie kredytu melioracyjnego będą mieli większe znaczenie „pełnomocnicy rolni“ (miejscowe organy ministeryum rolnictwa). Mianowicie wolno im będzie przyjmować podania o pożyczki; nadto obowiązkiem ich ma być nadzór nad użyciem sum pożyczonych, udzielanie wskazówek itd.

Projekt ten ma być wniesiony na tegoroczną sesyę jesienną Rady państwa, która bardzo przychylnie jest usposobiona dla kredytu melioracyjnego, skoro niedawno wyznaczyła trzy miliony rubli na pożyczki tej kategoryi.

Warto, ażeby rolnicy z Królestwa Polskiego nie zaniedbali sprawy i zechcieli, korzystając z reformy, opracować odpowiedni memoryał w zakresie swoich potrzeb i złożyć go władzom właściwym. Wprawdzie w Królestwie niema pełnomocników rolnych, ale jest sekcya rolna, tudzież świeżo zawiązane towarzystwa rolnicze, które mogłyby wybornie wziąć na się obowiązki pośrednictwa.

Drugą doniosłą reformą jest przekształcenie ministeryum komunikacyi. Właśnie ogłoszono obecnie prawo tymczasowe, na trzy lata, które niejako będzie wstępem do zasadniczych reform w dalszym ciągu. Dotychczas jednakowe sprawy załatwiały różne wydziały ministeryum, co tylko tworzyło chaos i zagmatwanie. Obecnie nowe prawo wprowadza ważne uproszczenia w tej mierze. Władze ministeryum będą się składały: z ministra, towarzysza ministra, rady ministra, rady do spraw kolejowych, rady inżenierów, zarządu kolei żelaznych, inspekcyi pociągów cesarskich, zarządu budowy kolei, zarządu komunikacyi wodnych i szosowych, tudzież portów handlujących, wydziału sprawdzania zamówień, dokonywanych przez ministeryum, kancelaryi ministra z oddziałem wywłaszczania ziemi, wydziału naukowego, wydziału statystyki i kartografii.

Bezpośredni zarząd kolejami skarbowemi zogniskuje się w miejscowych zarządach kolei. Otrzymają one szeroki zakres władzy, zwłaszcza pod względem eksploatacyi. Taki system decentralizacyjny wpłynie zasadniczo na zmianę gospodarki, usunie wiele przeszkód i da większą niezależność linij oddzielnych, które skutkiem wielu skrępowań nie mogły zadośćuczynić całkowicie potrzebom miejscowym.

Niezmiernie ważny przełom stanowi ograniczenie „tabeli rang,“ które jedynie otwierały drogę urzędnikom do pewnych posad. Na przyszłość rangi już nie będą miały znaczenia takiego, jest więc nadzieja, że główną rolę będą miały zdolności, kwalifikacye umysłowe i moralne.

Dzięki decentralizacyi, w Warszawie powstanie osobny zarząd kolei Królestwa Polskiego. To samo w innych dzielnicach państwa. Uprości to znacznie całą gospodarkę, usunie potrzebę zwracania się do Petersburga, co było konieczne nawet w sprawach błahych, których dotychczas zarządy kolejowe nie mogły rozstrzygnąć samodzielnie. Eksploatacya i budowa linij pomniejszych pójdzie raźniej. Są wszakże i pewne zastrzeżenia. Tak np. decentralizacya zamówień ma dwie strony. Zarządy kolei skarbowych pojedynczych lub okręgowych nie będą miały potrzeby zwracania się do sfer wyższych, wolno im czynić zamówienia samodzielnie; ale z drugiej strony zastrzeżono w zmienionej ustawie, że zamówienia nie mogą przewyższać jednorazowo sumy 50,000 rb. Kilkorazowe wszakże zamówienia mogą granice tej normy przekroczyć.

Pod władzą osobnego zarządu budowy kolei żelaznych będą: studya, budowa, eksploatacya tymczasowa nowych linij skarbowych, wreszcie nadzór nad studyami i budową kolei, stanowiących własność towarzystw i osób prywatnych.

Sprawy szkół specyalnych wchodzą w zakres działalności wydziału naukowego. Obowiązkiem rady inżenierów będzie rozpatrywanie kwestyj technicznych i projektów robót większych, które wymagają znacznych nakładów skarbowych. Wogóle przekształcenie ministeryum komunikacyi może mieć doniosłe znaczenie ekonomiczne.

Skoro mowa o reformach, nie możemy pominąć jeszcze jednej, acz należącej do kategoryi zaprojektowanych. Mianowicie ma być przekształcona inspekcya fabryczna. Przedewszystkiem w departamencie przemysłu i handlu ministeryum skarbu ma być utworzony wydział główny do spraw fabrycznych i przemysłowo górniczych. W skład jego wejdą: przedstawiciele ministeryów: spraw wewnętrznych, skarbu, rolnictwa, sprawiedliwości, wojny, inspektorowie okręgowi i inne osoby powoływane w miarę potrzeby. Przewodnictwo obejmie minister skarbu. W zakres obowiązków wydziału wejdzie: uchwalanie instrukcyi, prawideł i okólników, rozwijających ustawy w sprawach przemysłu fabrycznego, dozór nad działalnością wydziałów miejscowych do spraw fabrycznych i górniczych, rozstrzyganie skarg na te wydziały i orzeczenia w sprawach wątpliwych. Organizacya taka uczyni zbytecznymi wydziały do spraw przemysłowo-górniczych w departamencie górniczym. Czynności ich powierzone będą wydziałom gubernialnym do spraw fabrycznych, do których wejdą: inspektor górniczy okręgowy lub pomocnik jego i — przemysłowy górniczy. Według nowych przepisów ma być zmieniony sposób dozoru nad czynnościami inspektorów. Mianowicie będzie wprowadzony system okręgowy. Miejsce obecnych rewizorów zajmą inspektorowie okręgowi fabryczni. Od Nowego roku ma być zwiększona liczba inspektorów fabrycznych o 80. Obecnie jest ich zaledwie 171, przypada zaś na nich aż 20,000 zakładów przemysłowych, 1,400,000 robotników i 32,500 kotłów parowych. Tym sposobem na jednego 120 fabryk i 200 kotłów parowych. Trudno tedy wymagać, ażeby obowiązki tak olbrzymie były rzetelnie wykonywane. Oprócz zwiększonej liczby inspektorów, jeszcze będą stworzone posady inspektorów starszych.

Podczas gdy w jednym zakresie pracy jest dążność do zwiększenia liczby urzędników, w innym daje się słyszeć narzekanie na ich mnogość. Sprawę tę poruszyło niedawno *Żeleznodorożnoje dieło* i wypowiedziało swoje poglądy w sposób następujący: „Złe tkwi w nadzwyczaj wielkiej liczbie naczelników stacyjnych i zawiłym kancelaryzmie. Weźmy najczynniejszych i zarazem najodpowiedzialniejszych oficyalistów, a więc maszynistę, majstra drogowego, naczelnika stacyi. Zobaczmy, jakie są warunki ich służby pod względem administracyjno-kancelaryjnym. Majster drogowy uznaje tylko jednego zwierzchnika: inżeniera rewiru, któremu składa raport codziennie. Z żadnym innym naczelnikiem nie prowadzi korespondencyi i z nikim nie podtrzymuje stosunków osobistych. Maszynista zna tylko naczelnika „depot,“ któremu składa krótki raport i na tem kończy się jego styczność z władzami. Zupełnie inne stosunki panują w dziale „służby ruchu.“ Oto lista władz, z któremi stacye muszą ciągle mieć do czynienia: naczelnik ruchu, jego pomocnik, kontroler ruchu, kontrola i służba handlowa. Można mieć stąd pojęcie, ile czasu zabiera sama tylko korespondencya, polemika z władzami kontrolującemi. Niedość całej tej korespondencyi, obarczającej naczelnika stacyi, nie dość obawy odpowiedzialności za niedotrzymanie terminów w tej mierze; władze stacyjne są jeszcze nieustannie odrywane od pracy tudzież narażone na przykrości i przyczepki przyjeżdżających raz wraz wszelkiego rodzaju wyższych i niższych naczelników dyrekcyi. Zjawia się np. urzędnik kontro-

li i siedzi dwa dni. Żąda przedstawienia sobie różnych ksiąg handlowych i oto cała służba stacyjna jest zajęta, towarzyszy rewidentowi do kas i magazynów, musi udzielać różnych wyjaśnień. Jedzie urzędnik, sprawdzający inwentarz stacyjny — więc znowu oderwanie od obowiązków bezpośrednich. Przybywa wreszcie władza naczelna, bezpośrednia lub wyższa w pociągu służbowym i znowu wszyscy urzędnicy stacyjni na usługach! Rezultatem takiego wielowładztwa i wielonaczelnikostwa są coraz częstsze wypadki, których winnymi są wiecznie tylko niżsi oficyaliści."

Charakterystyka ta jest najzupełniej zgodna z istotnym stanem rzeczy. Stosunki takie panują wszędzie i wyrządzają wielką krzywdę zarówno społeczeństwu, jak i jego rzeszy, pracującej w przedsiębiorstwach komunikacyjnych. Ponieważ tę sprawę poruszył organ specyalny, którego zdanie ma znaczenie oficyalne, więc można mieć nadzieję, że opinia jego nie przebrzmi bez echa, lecz wywoła jeszcze jedną reformę, bardzo pożądaną.

Paweł Krzyżanowski.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Wybór prezydenta. — Kursa im. Baranieckiego. — Wystawa szkoły p. Certowicz. — Jeszcze sztuki konkursowe. — Bunt Naplerskiego. — Nowy dyrektor teatru. — Zjazd dziennikarzy.

Partya konserwatywna, która panowałą dotąd zupełnie samowolnie w Galicyi, ponosi coraz częstsze porażki, pomimo, a może dzięki niesłychanej reakcyi, przy której pomocy chce utrzymać zagrożoną przez postępowe żywioły przewagę.

Jedną z takich klęsk był świeżo wybór prezydenta. Ponieważ zasadą panów klerykałów jest ułatwiać zbawienie swoim bliźnim przez zalecanie im ewangelicznego ubóstwa, sami poświęcają się i starają się zajmować wszystkie możliwe urzędy i stanowiska (oczywiście płatne). Jednym z takich męczenników idei chciał być Andrzej hr. Potocki, najbogatszy pan z panów; dał się on ubłagać swojemu stronnictwu, żeby przyjął urząd prezydenta, jeśli mu go dadzą. Pan ten nie położył żadnych zasług dla miasta, nie odznaczył sie nigdy niczem jako radca miejski. Kandydatura też hr. P. upadła — mimo skandalicznych wysiłków, żeby ją uratować. Wybrano na dalsze lat sześć p. Friedleina, cichego a zasłużonego pracownika.

Wogóle nasza Rada miejska, ożywiona wyborem kilku radców postępowych, zaczyna coraz częściej w bardzo sympatyczny sposób zaznaczać swoją dbałość o sprawy mające dobro miasta na celu. W tegorocznym budżecie widzimy dosyć znaczne zapomogi na różne instytucye użyteczności publicznej, jak bezpłatne wypożyczalnie, szkoły analfabetów, odczyty popularne, które do niedawna jeszcze zupełnie były zaniedbane.

Obecnie zapadła uchwała, która i dla szerszego ogółu nie będzie obojętną. Oto postanowiono podnieść i zreorganizować Kursa im. Baranieckiego dla kobiet — a przeznaczono na ten cel sumę trzy razy większą, niż dotąd — należy więc spodziewać się bardzo poważnych zmian na lepsze. Wszystkie trzy działy, tj. literacki, przyrodniczy i malarski, mają być znacznie rozszerzone, zaopatrzone w odpowiednie pomoce naukowe i wygodnie rozmieszczone. Dla kobiet, które początkowo prywatnie się kształciły i nie mają zamiaru zużytkowywać nabytych wiadomości w pracy zawodowej, Kursa im. Baranieckiego są bardzo wskazanym zakładem naukowym, uzupełniającym średnie wykształcenie.

Tegoroczna wystawa uczennic w szkole sztuk pięknych dla kobiet, utrzymywanej przez znaną rzeźbiarkę, p. Certowicz, rokuje nam kilka dość wybitnych talentów niewieścich. Ogół wystawionych prac cechuje pewna brawura i śmiałość zarówno linij, jak i wyrazu, świadcząca chlubnie o kierownictwe. Wogóle wzrastające zamiłowanie do sztuk plastycznych jest bardzo dodatnim objawem: rozwija bowiem pod względem artystycznym bez porównania więcej, niż obowiązkowa do niedawna fortepianomania, a i w dalszem życiu daleko częściej i łatwiej znaleźć może zastosowanie praktyczne.

Należy się też wzmianka krakowskiej „secesyi." Towarzystwo „Sztuka" darzy nas co rok zbiorkiem rzeczy tak wybitnie artystycznych, tak oryginalnych, że prawdziwą ucztą jest spędzenie kilku godzin w salonach Sukiennic, gdzie zazwyczaj bywa szaro i ckliwo.

Niewielkich rozmiarów obrazek Axentowicza, zatytułowany: „Pochód Słowian," jest jednem z takich niezwykłych zjawisk w sztuce, gdzie przy minimalnem wyzyskaniu efektów technicznych całą siłą wybucha moc twórcza artysty i nawet najobojętniejszego widza porywa.

Zrozumialszym już jest zachwyt, jaki wzbudza ukraińska czwórka Chełmońskiego, pędząca w pełnym galopie wprost na widza. A dalej cały zastęp nazwisk znanych, ale wciąż młodych młodzieńczą siłą natchnienia. A więc Malczewski, Wyczółkowski, Stanisławski, Wyspiański, Mehoffer i wielu innych z nowej szkoły, otrząsających się ze sztucznej maniery.

Nie tak świetnie zapowiada się twórczość dramatyczna młodego pokolenia. Ostatnie dwie sztuki z konkursu warszawskiego, jakie widzieliśmy na scenie tutejszej, smutne wywołały myśli. Jaki straszny brak musi być oryginalnych utworów polskich, jeżeli sąd, złożony z ludzi fachowych, mógł choćby najmniejszą wzmianką odznaczyć pracę p. Ronikera, „Zgaszeni." Jest to rzecz tak płaska, tak niesmaczna, tak bez najmniejszego talentu sklecona, że wprost wierzyć się nie chce, że mogła być do grania poleconą i nagrodzoną!

„Biała gołąbka" p. Nowińskiego także, niestety, dramatycznej sztuki polskiej na wyżyny nie wyniesie. Jest to pretensyonalna ballada średniowieczna, coś w rodzaju Cyrana de Bergerac, a o tyle nudna i blada, o ile tamta jest barwna i pełna życia.

Jedynem wybitniejszem zjawiskiem na scenie naszej w ostatnich czasach było wystawienie dramatu Kasprowicza „Bunt Napierskiego." Nie jest to arcydzieło, ale temat na scenie nowy (ruch mas ludowych, porywający żywiołowo za sobą swoich przywódców: jednego ambitnego agitatora, drugiego w imię ewangelicznej miłości wołającego o sprawiedliwość marzyciela), przedstawiony z wielką siłą i bardzo pięknym, energicznym wierszem skreślony— wywiera potężne wrażenie, a zdaje się, że jest to jednem z głównych zadań sztuki.

Nowy dyrektor, p. Kotarbiński, krząta się około zorganizowania na nowo rozprzęgniętej maszyneryi scenicznej. Z artystów, o ile nam wiadomo, zostają prawie wszyscy; zdaje się więc, że pod względem wykonania nie będzie miał wielkich trudności, bo dotychczasowa drużyna była doskonale z sobą zestrojona i artystycznie wyszkolona. Gorzej będzie z dekoracyami i kostiumami. Całe dotychczasowe zapasy, które były osobistą własnością poprzedniego dyrektora, ofiarował p. Pawlikowski gminie lwowskiej, czeka więc p. Kotarbińskiego ciężki przednówek. Wspierać go będzie ogólna sympatya, jaką się cieszy, długoletnie doświadczenie oraz znana energia jego małżonki, która z pewnością w sprawach administracyjnych dzielną mu się stanie pomocą. Z niecierpliwością też oczekujemy nowej ery w naszym teatrze, która rozpocznie się w drugiej połowie sierpnia.

W pierwszej połowie organizują się w Krakowie aż dwa zjazdy dziennikarzy słowiańskich. Dlaczego dwa? — trudno to określić dla tych, co nie znają tutejszych stosunków. My dziwimy się, że tylko dwa.

Caeca.

LISTY Z PARYŻA.

Dopuszczenie kobiet do adwokatury. — Historya panny Chauvin.— Adwokatki w innych krajach Europy. — Polacy w salonie. — Koniec studyów. — Sprawozdania dw[illegible]

Jednym z pierwszych czynów nowego gabinetu ministeryalnego było dopuszczenie kobiet do adwokatury. Dnia 1 lipca Izba posłów uchwaliła 319 głosami przeciw 174 wniosek deputowanego Vivianiego, na którego podstawie kobiety, posiadające dyplom licencyatek prawa, mogą być adwokatkami.

Historya zdobycia tego ustępstwa jest bardzo ciekawa.

W r. 1897 panna Chauvin, wówczas od pięciu już lat ukończona prawniczka, zażądała wpisania jej na listę obrońców w sprawach sądowych.

Dzielna ta niewiasta, urodzona na prowincyi, w departamencie Loizet, uczyła się wspólnie ze swoim bratem języków łacińskiego i greckiego, otrzymała w r. 1885 gimnazyalne świadectwo dojrzałości, zapisała się na filozofię, potem na prawo i uzyskała stopień licencyatki, przedstawiwszy dobrą rozprawę p. t.: „O zawodach dostępnych dla kobiet, według prawa rzymskiego i francuskiego." Dano jej potem miejsce nauczycielki prawodawstwa francuskiego w kilku liceach dziewczęcych, ale że wykształcenie i stopnie akademickie, jakie posiada, uprawniały ją do stawania w sądach, więc wystosowane do prokuratora generalnego żądanie, aby wyznaczył jej dzień, w którym mogłaby złożyć przysięgę adwokacką, było zupełnie słuszne. Tymczasem nadeszła odpowiedź odmowna, zatwierdzona następnie d. 30 listopada 1898 r. przez władze najwyższe.

Był czas, kiedy kobiety francuskie broniły przed sądem swoich mężów lub krewnych: okres wielkiej rewolucyi. Źródła podają kilka podobnych skutecznych obron, dokonanych przez osoby nieposiadające specyalnego wykształcenia.

Władze republikańskie zapomniały tedy o tych faktach (jak i o wielu innych). Lecz grupa posłów w Izbie postanowiła wystąpić przeciw podobnemu ograniczeniu. Paweł Deschanel, Poincare, Leon Bourgeois i René Viviani ułożyli wniosek dopuszczenia kobiet do adwokatury, a wielka ilość posłów z najrozmaitszych obozów poparła go. Wśród podpisanych pod nim byli Mézieres, członek w Akademii francuskiej, Flourens, dawny minister spraw zagranicznych, Marty, de Mahy, Maurycy Faure [illegible]

Wniosek przekazano komisyi, która znowu uczyniła swoim sprawozdawcą Vivianiego. W ten sposób wszystkie wyrazy uznania ze strony niewiast spływają obecnie na tego głównie posła.

Bądź co bądź, Francya może się pochlubić nową uchwałą. Obecnie w Europie już połowa państw dopuściła kobiety do adwokatury. Pierwsza zrobiła to ustępstwo Rumunia, pozwalając 26 czerwca 1891 r. wpisać się pannie Bilcesco w poczet adwokatek. Następnie uznały je trybunały finlandzkie, w r. 1895 Norwegia i kanton Appenzelski w Szwajcaryi, dnia 2 lutego 1897 r. kanton Zurychski. W grudniu 1897 nowe prawo szwedzkie przyznało zarówno

kobiecie, jak mężczyźnie, prawo bronienia innych przed sądem. Bawarya wreszcie posiada od roku adwokatkę w osobie panny Augsburg.

Z ziem zaś zaeuropejskich Stany Zjednoczone uprawniły zawód adwokatek już 15 lutego 1879, w Kanadzie stan Ontario uczynił to 14 kwietnia 1992, w Nowej Zelandyi prawa z 11 września i 12 październiku 1896 usunęły wszelkie przeszkody kobietom obierającym wspomnianą karyerę. Tego roku uczynili to samo Anglicy w Indyach. Sprawa adwokatek została wreszcie uwieńczona powodzeniem w Czili, Meksyku (pierwsza adwokatka panna Marya Sandoyal), w Japonii (panna Tel Sono) i na wyspach Hawajskich.

W tegorocznym Salonie Polacy wzięli udział, jak zwykle, niezbyt ożywiony. Kilkanaście obrazów, parę rzeźb — to wszystko. Dodajmy, że zarówno pierwsze, jak drugie, nie przewyższają większości otaczających je dzieł.

Wojciech Gerson dał „Powrót Kazimierza Odnowiciela do Polski," Jan Chełmoński „Napoleona cwałującego po śniegu," Piątkowski wystawił portret Mickiewicza (z cygarem w ręku) i obraz nastrojowy: „Przejście śmierci." Taliańskiego motywy zaczerpnięte z Galicyi: stara babka zażywa tabakę; na drugim obrazie zwada karczemna włościan. Słupski przysłał portret księcia Radziwiłła, Zawiski — dwa krajobrazy z Wersalu. Ciesielski — widok z Fontainebleau. Ładna jest „Przekupka z cebulami" Berty Mackiewiczówny. Czerniechowski wystawił dość duże płótno: „Taniec na cmentarzu niewiniątek we wrześniu 1424," Poraj Pstrokonski „Miłość biedaka," Kowalski — dwie głowy kobiece, podpisane: „Wiosna" i „Jesień," Przepiórski — „Obraźników wiejskich."

Dziedzinę akwarel, miniatur i pastelów przywłaszczyły sobie panie. Panna Stoffregen, Polka z Poznańskiego, otrzymała trzecią nagrodę za ładną miniaturę „Ślepiec." Emilia Dybowska dała akwarelę „Kwiaty," świeżą i delikatną. Pastel panny L. Ostrowskiej z Warszawy, przedstawiający postać kobiecą, ma dużo wyrazu.

Pierwszeństwo nad wszystkimi przytoczonymi obrazami dałbym trzem portretom Olgi Boznańskiej. Dziwi w niej nieco zamiłowanie do osób szpetnych, ale wykonanie, miękość kolorytu, ciepło otaczające zarysy i kształty, zdolność chwycenia zasadniczych cech nadają wielką wartość jej obrazom.

Z życia polskiego niewiele da się po za tem zaznaczyć. Nadchodzą już wakacye, życie towarzyskie ustaje. Winienem jednak wspomnieć o młodzieży, studyującej w tutejszych zakładów naukowych. W szkole nauk politycznych, gdzie od kilku lat corocznie słucha wykładów kilku Polaków, dwaj Królewiacy: Maryan Kiniorski i Wiktor Krypski bronili swych rozpraw z odznaczeniem. Pierwszy traktował o sprawach politycznych Galicyi (rozprawę tę profesorowie szkoły zalecili do druku). Drugi — stosunki dyplomatyczne Wielkiego Księstwa Warszawskiego z Francyą.

W szkole medycznej zaś uzyskał stopień doktorski warszawiak Bernard Rubinrot. Teza jego, bardzo skrzętnie opracowana, traktuje o jednej z najważniejszych i najnowszych operacyj położniczych, tak zwanej symfizeotomii (*Contribution a l'étude de la symphyséotomie*).

Dwa stowarzyszenia polskie w Paryżu „Instytucya czci i chleba" i „Towarzystwo imienia Klaudyny Potockiej" ogłosiły swe sprawozdania. Pierwsze datuje się od czterdziestu dwóch lat, celem jego jest pomaganie tułaczom pogrążonym w niedostatku. Obecnie jest prezesem T. Bloriszewski, administratorem Józef Gałęzowski. Śmierć przerzedziła znowu te szeregi: jedenastu członków, z tych jedna kobieta, zmarło w roku 1898. Ogólna liczba uczestników wynosi 228 osób. Zgon wielu dawniejszych nie odbił się na dochodach Towarzystwa, znajdujemy bowiem w sprawozdaniu, że 140 zmarłych skapitalizowało swoje wkłady. Tak to, choć już dawno nie żyją, imiona ich stają do apelu, gdy idzie o wsparcie uboższych.

Dochód w r. 1898 wynosił 16,371 franków, z 1897 zostało było 2,058. Wypłacono pensye w sumie 16,360 fr.

Towarzystwo imienia Klaudyny Potockiej jest również dobroczynnem. Udziela wsparć ubogim rodzinom polskim. Na czele jego stoją panie: Seweryna Duchińska i Amelia Gałęzowska. Na ostatniem swem posiedzeniu uchwaliło ono dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Klementyny z Tańskich Hofmanowej dać cztery książeczki oszczędnościowe po 25 franków czterem najlepszym wychowankom ze szkoły św. Kazimierza, cztery inne zaś — dwie po 25, dwie po 50 fr. — czterem wzorowym uczniom szkoły polskiej na Batiniolach.

B.

NOWE PRĄDY OŚWIATY.

W jednej ze swoich powieści Dickens wprowadza do szkoły pewnego „businessmana," patrzącego na życie w sposób trzeźwy, tj. mieszczański. Naturalnie przedstawiciel pospolitej, codziennej filozofii zdrowego rozsądku, korzystając ze sposobności, wypowiada poglądy swoje na to, czem ma być szkoła. Powinna ona wpajać fakty — nic więcej, tj. żadnych uogólnień i polotu, żadnej wyobraźni i uczucia, tylko gołe, zwyczajne fakty, któreby uczniom kiedyś pomogły obracać się w świecie i robić majątek, a więc działania arytmetyczne, geografia, rysunek. Takie pojęcia nie ograniczają się na Anglii, ani nie są związane z tamtejszą warstwą ludzi interesu, bo występują wszędzie, gdziekolwiek życie stworzyło takich rozsądnych mężów, stwarza zaś ono ich wszędzie w coraz znaczniejszej liczbie. W pamięci mojej wypływa osobistość takiego rodzimego mędrca, obywatela wiejskiego, potem spekulanta miejskiego, chwalącego się, iż trzeźwo patrzy na życie, wolny od wszelkich mrzonek. Szkoły! Najlepsza szkoła oddać dziecko handlarzowi żydowi na wychowanie. Najrychlej nauczy się tam rozumu...

Ów zdrowy, praktyczny rozsądek pospolitego robigrosza oraz jego teoretycznych ideologów ujawnia się w sposób rozmaity. Jedni pragną nadać szkołom charakter „realny" — dążenie niewątpliwie bardzo postępowe w stosunku do dzisiejszego stanu oświaty publicznej, ale ostatecznie bardzo ciasne i ograniczone, gdy na rzecz spojrzymy z szerszego, obywatelskiego stanowiska. Niewątpliwie, szkoła powinna przygotować młodego rodaka do życia, ale także powinna stworzyć z niego członka swego narodu i danego szczebla cywilizacyi.

Inni wypowiedzieli walkę dyletantyzmowi. I znowu zamiary są bardzo dobre, gdy chodzi o ukrócenie pospolitej blagi wszechwiedztwa lub o motylkowatą igraszkę ze skarbami nauki. Ale, niestety, pod dyletantyzm podciągnięto wszelkie, nawet najszczersze dążności do ogólnego wykształcenia, do wyrobienia sobie pojęcia o tem, czem jest wszechświat i społeczeństwo. A nawet owo zdawkowe wszechwiedztwo nie jest, ze stanowiska społecznego, rzeczą szkodliwą. Lepsze ono jako podstawa ogólnej filozofii, niż żadnego rodzaju przesądy.

Jeszcze inni rzucili się na wykształcenie ogólne, nawet głębiej pojmowane, przeciwstawiając mu specyalizacyę. Albo specyalista, albo niepotrzebny! I to hasło posiada niezaprzeczenie racyę bytu, bo wiedza rozwija się tą drogą, ale jeśli specyalizacya stanowi nieodzowny warunek postępu, to i o tem nie trzeba także zapominać, iż posunięta za daleko, stwarza nic uczonych, lecz erudytów zaskiepionego w sobie mandarynizmu, oraz iż prócz uczonych istnieją jeszcze w kraju obywatele, z których żaden nie marzy o tem, ażeby czemkolwiek własnem przyczynić się do powiększenia skarbnicy wiedzy, ale z pośród których wielu pragnie zaczerpnąć stamtąd jak najwięcej materyału dla rozświetlenia sobie i innym dróg życia. Hołdują oni zasadzie, iż człowiek jest na świecie nie po to, ażeby tylko gromadził wiedzę, ale owszem wiedza istnieje po to, ażeby wszystkim dostarczyć właściwszych zapatrywań na stanowisko człowieka w świecie.

Hasła te w kierunku realizmu i specyalizacyi z potępieniem wszelkich dążeń ku ogólnemu wykształceniu rozbrzmiewają dość silnie, a mając za sobą poparcie ze strony potrzeb życia, oddziaływać zaczynają na ukształtowanie się szkolnictwa. Nie znaczy to, ażeby szkoła, taka, jaka istnieje, posiadająca wszelkie wady przebrzmiałej tradycyi, bez zalet fachowego, realnego kształcenia, ulegała reformie. Nie! Istnieje ona, a w każdym razie trzyma się mocno. Ale obok niej powstają inne zakłady i mnożą się w społeczeństwach. Techniczne, handlowe, rolnicze są coraz obfitsze, tak iż wychowańcy dawnej szkoły są coraz mniej liczni. Jest to postęp, młode mózgi zostają oswobodzone od wiadomości, które im w życiu ostatecznie na nic się nie przydadzą, ani nie uzdolnią do znalezienia zarobku, ani też nie rozświetlą głowy. Ale nowa szkoła, realna, niewątpliwie praktyczna, jest także wolną od wszystkiego, co nie jest bezpośrednio związane z zadaniem robienia grosza. Kształci ona młodych „byznesistów," uważając, iż tylko taki gatunek ludzi jest potrzebny społeczeństwu. Kiedy „akademia" w Atenach starożytnych była miejscem rozpraw oderwanych, humanitarnych, zaostrzała umysł, dostarczała dysputującym probierza filozofii praktyczno-społecznej, obywatelskiej, odsuwając od siebie wiadomości zawodowe, jako rzemieślnicze, poniżające obywatela i godne tylko wyzwoleńca lub niewolnika, to natomiast nasza epoka, mieszczańska, wpadła w inną ostateczność. Naukę rzemiosł — rzemiosłem jest bowiem i prawo, i medycyna, i technika wszelkiego rodzaju — wzięła za swój jedyny cel, a przynajmniej jedyny. Traktuje ona młodzieńca nie jako obywatela w przyszłości, lecz jako zawodowca, zapomniała o spoidle społecznem, ale uwzględnia potrzeby pojedynczego atomu, który musi posiadać pewne wiadomości, ażeby wyjść na „człowieka," tj. na istotę ze stanowiskiem i kawałkiem chleba. Cywilizacya nasza posunęła się bardzo po drodze postępu. Epoki dzikości i barbarzyństwa wobec niej wyglądają niepokaźnie. Lecz musimy przyznać, iż pod wielu względami tamte okresy kultury mogłyby posłużyć nam za wzór. Tak jest mianowicie w zakresie oświaty ogólnej, obywatelskiej. Dla przykładu biorę takich Australczyków. Młodzieniec przebywa obrzęd uobywatelnienia w wieku lat szesnastu mniej więcej. Już przedtem wtajemniczył się we wszelkie umiejętności praktyczne życia zarobkowego. Od roku szóstego towarzyszy ojcu na polowaniu, jest małym, ale w każdym razie zarobkującym członkiem swego społeczeństwa. Pozostaje przejść mu szkołę obywatelską, tj. poznać tradycye swego plemienia oraz jego wierzenia i filozofię wszechświata, naiwną, lecz to nie zmienia istoty rzeczy, odbyć ćwiczenia uczucia obywatelskiego i wdrożyć się do obowiązków życia gromadnego. Pomijamy, w jaki sposób dziki Australczyk odbywa swoją praktykę przedwstępną, zanim wejdzie do grona dorosłych członków plemienia: powie-

my tylko, że trwa ona niekiedy kilka miesięcy, tj. bardzo długo, jeśli weźmiemy pod uwagę niewielki zasób wiedzy, prostotę filozofii pierwotnej i niezawikłaną budowę społeczeństwa tamtejszego. Nauka rzemiosła jest tam zadaniem rodziny, tj. prywatnem, szkoła publiczna uwzględnia jedynie stronę obywatelską. U nas dzieje się przeciwnie: pojęcie o obowiązkach obywatelskich pozyskuje młodzieniec w obrębie swego życia prywatnego, szkoła zaś publiczna zamienia się coraz bardziej na instytucyę realną, przygotowującą robigroszów. Wada naszego systemu szkolnego tkwi rozumie się nie w tem wprowadzeniu pierwiastku zarobkowego, jest to koniecznością, posiadającą swe źródło w naszych zasobach technicznych, ale w tem, iż po za nim niewiele więcej widzi.

Zresztą kiedy mówimy o napięciu wykształcenia zawodowego i zaniedbaniu ogólnego, winniśmy dodać, że sprawa ta, rozważana głębiej, przedstawia się nie tak jednostronnie i prosto, zasada klasowości rozpostarła się w każdej sferze życia tegoczesnego i nałożyła swoje piętno. Duch mieszczański wszedł w zatarg i z dążeniami humanitarnemi epoki naszej. Warstwa ta, „trzeźwa,“ praktyczna, wiedząca jak robić majątek, a po zmęczeniu codziennem szukająca odpoczynku w nadużyciach fizyologicznych, wystąpiła jako rzeczniczka bardzo ciasno pojętego wykształcenia i tak samo ciasno a utylitarnie zrozumianej specyalizacyi. Oszczędna, nawet bardzo oszczędna, gdy chodzi o wydatki na cele humanitarne, nigdy nie żałowała ona pieniędzy na szkoły techniczne, niekiedy czyniąc zapisy i szczodre ofiary na tego rodzaju zakłady. Szkoła jej zdaniem winna stwarzać nie darmozjadów w osobie doktorów wszech nauk, ale praktyków, a więc chemików, mechaników, ogrodników. Dawne marzenia wielkich umysłów humanitarnych, stojących u jej kolebki, odrzuciła od siebie jako zbyteczny rynsztunek, tak samo jak odżegnywa się od Russa, Woltera, że już nie wspominamy innych. I gdyby wolno było mieszczaństwu zorganizować świat według jego upodobań i ideałów, na pewno wszystko, co nie dowiodłoby charakteru utylitarnego, zostałoby skazane na zagładę, jako mrzonka. Ale na szczęście, prócz rozsądnych głów świata mieszczańskiego istnieją jeszcze inne warstwy, i humanizm dawny znajduje tam dzisiaj silne poparcie. Reakcya, która tak raduje serce naszych Zagłobów, jest tylko powierzchowną i ogarnia, jak ktoś się wyraził, jedynie dziesiątek tysięcy osób, stojących na szczycie hierarchii mieszczańsko-junkierskiej. Ale pod tą wierzchnią pokrywą w życiu Europy tegoczesnej odbywa się rozległa robota demokratyczna — demokratyzacya wiedzy i sztuki. Powstaje samorzutnie, pod wpływem potrzeb życia, nowa organizacya kształcenia się, oderwanego, filozoficznego i humanitarnego. Mówiąc to, mamy na myśli prąd znany w Europie pod nazwą angielską *University extension movement*. Przejrzałem setki programów, poradników i różnych podręczników, zawsze uderzał mnie charakter nieutylitarny z punktu mieszczańskiego, dążenie do ogólnego wykształcenia, tak charakterystyczne dla tego ruchu. Posiadam katalog dziewiętnastu poradników, wydanych w Anglii. Warto przyjrzeć się ich rozmieszczeniu: dwa przypadają na filozofię, dwa na teoryę estetyki, po pięć na historyę literatury, oraz dzieje z ekonomią, wreszcie cztery na przyrodoznawstwo. Jeszcze ciekawszy jest skład t. zw. *Syllabi*— amerykańskich (poradników). Z liczby ogólnej, dochodzącej do czterdziestu, przypada na nauki stosowane tylko dwa, na polityczne — cztery, po sześć na przyrodoznawstwo i historyę, ekonomia zajęła osiem, wreszcie olbrzymią resztę stanowi sztuka i literatura. Dodajmy, iż w obu wymienionych krajach, a więc w Anglii i w Stanach Zjednoczonych, warstwa robotnicza dostarcza prawie wyłącznie słuchaczów uniwersytetom ludowym, oraz iż kursa kształtują się według ich upodobania, tj. istnieją tylko takie wykłady, które cieszą się popularnością. Przypomina mi to czyjąś uwagę, iż dzisiaj z pracowni mieszczańskich w Niemczech filozofia przeniosła się do mieszkań mechaników. Anglia mogłaby pochwalić się czemś podobnem, mianowicie, iż nauki humanistyczne i filozoficzne są więcej uprawiane w chacie górnika, aniżeli w willi zamożnego „byznesisty.“

Zorganizowana demokratyzacya wiedzy liczy zaledwie jeden dziesiątek lat istnienia. Przecież pomimo tak krótkiego przeciągu czasu zdołała przybrać ogromne rozmiary i w chwili obecnej należy do ciekawszych prądów kulturalnych wielu społeczeństw. Powstały systematyczne i popularne kursy, ale „popularność“ owa nie ma nic wspólnego z pospolitą wulgaryzacyą wiedzy, której pierwszym przymiotem jest to, iż ją uprawiają nieuki i niedouki. Popularyzują tam wiedzę wybitni specyaliści. Urządzono porady listowne i nawet egzamina. Ukazały się pracownie i odpowiednie poradniki, należące w swojej gałęzi wiedzy zwykle do najlepszych — ci samouncy, którzy wychodzą z pośród górników i tkaczów, odznaczają się jednocześnie olbrzymią żądzą nauki ogólnej i poważnem jej traktowaniem, odmiennem od dyletantyzmu blagierów wszechwiedztwa. Widocznie, że warunki bytu wyrobiły głębokie traktowanie zadań kształcenia się. Słowem, mniejsza w jaki sposób, dość iż w Anglii i Ameryce, wogóle w cywilizacyach rasy anglo-saskiej, powstaje organizacya, coraz szerzej rozrastająca się, coraz liczniejsze zastępy ściągająca w imię haseł ogólnego, obywatelskiego wykształcenia, a zwolna uzupełniająca częściowo te braki, jakie istnieją w szkolnictwie dzisiejszem. Trudno przewidywać, co w dalekiej przyszłości wyjdzie z tych prób, bo ostatecznie te różne kursy są przedewszystkiem tylko próbami, w następnym roku porzuca się wzory przeszłoroczne, wciąż ulegają one zmianom i doskonaleniu. Przypatrując się tej robocie, odnosimy wrażenie, że życie w różnych kierunkach stara się wypróbować zasady nowej organizacyi samokształcenia, zupełnie swobodne i niepoddane żadnym względom pedagogiki zdawkowej. Tworzy się niby wszechnica, na której każdy może słuchać jedynie tego, ku czemu czuje upodobanie, bez żadnych ograniczeń. I jeżeli rozejrzymy się w dziejach i początkach naszego systemu oświaty, również okaże się, iż powstał on w taki sam sposób, tylko w szrankach ciaśniejszych i wśród innego otoczenia społecznego. Wolno przypuszczać, iż w tego rodzaju urządzeniach, demokratyzujących wiedzę, mamy pierwociny jakiejś przyszłej organizacyi oświaty publicznej, tworzącej się obok szkolnictwa realnego, zawodowego i uzupełniającego jego braki. Szkolnictwo fachowe było dorobkiem dziejowym warstwy mieszczańskiej, bardzo ważnym i pożytecznym, ale niezmiernie jednostronnym. Nowa, powstająca organizacya, jest wyrazem pojawienia się na widowni kulturalnej innych warstw z innem położeniem w społeczeństwie i z innymi widnokręgami.

K. R. Ż.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Zdemaskowani przyjaciele.

Nie przecząc, że wyznanie w pewnych wypadkach jest ważnym pierwiastkiem narodowościowym i czynnikiem politycznym, dowodziliśmy stale, że samo ono nie może wytworzyć dość silnej ochrony dla istoty społeczeństwa. Przekonywających dowodów w tym względzie dostarczał zwłaszcza los Polaków w państwie pruskiem. Połączyli się oni w działaniach politycznych ze stronnictwem katolicko-niemieckiem (centrum), a często pozostawali pod jego komendą. Bez wątpienia ten stosunek dawał im pewne drobne korzyści, ale krył w sobie niebezpieczeństwo możliwości odprawienia „murzyna, który spełnił swoją powinność.“ I tak się stało. Gdy ultramontanie niemieccy zaczęli przechodzić do obozu rządowego, jednocześnie wypowiedzieli swą przyjaźń dawnym sprzymierzeńcom, a nawet stanęli w otwartej przeciw nim walce. Wybuchła ona ze szczególną mocą na Szląsku, gdzie owce polskie mają pasterzy niemieckich. Jak świadczy korespondencya w *Kuryerze codziennym*, księża pruscy nie kryją się już wcale z dążnością wynarodowienia ludu i zaszczepienia na jego pniu żywiołów niemieckich. Występują oni z całą zaciętością germanizacyjną, której mogliby im pozazdrościć opatentowani hakatyści. *Kuryer* pociesza się, że ten „stosunek uczy lud, jaka jest różnica między wyznaniem a narodowością — wzmacnia jego samowiedzę narodową i społeczną.“ Rzeczywiście jest to zwykły skutek podobnych operacyj, ale ileż obok niego staje szkód i udręczeń!

Ulewy.

Długotrwałe i nadzwyczajnie obfite ulewy wyrządziły nam szereg różnorodnych szkód, które zubożyły kraj o nieobliczone sumy. W wielu okolicach zmarniały lub zginęły zupełnie zasiewy ozime i jare, kartofle, buraki, poszły z wodą siana, porozrywały się groble stawów rybnych. Wszystko są to straty bardzo dotkliwe. Ale każda klęska powinna przynosić jedną przynajmniej korzyść: rodzić naukę i przestrogę. Otóż zdaje nam się, że obecna pozostawiła nam wiele wskazówek praktycznych, których posłuchać należy. Między innemi przedstawiła nam w lekcyi poglądowej, czem są nasze drogi. Jak wiadomo, należą one do tych zabytków odległej starożytności, których już dziś w Europie zachodniej spotkać nie można. Tam oddawna zrozumiano, że dobra droga jest nietylko przyjemnością, ale pierwszorzędnym czynnikiem ekonomicznym, który ułatwia szybką i prawidłową komunikacyę, a nadto oszczędza jej wydatki w ogromnej mierze. Niepotrzeba do tego żadnej szczególnej wiedzy lub bystrego umysłu, ażeby pojąć, że cena produktów, a więc warunki życia, zależą od kosztów transportu. Ten sam towar, sprowadzany końmi, koleją lub okrętem, będzie miał trzy wielce różne ceny. Jeżeli tedy jakiś kraj posiada złe drogi, po których przewóz odbywa się wolno i naraża na straty, musi on płacić drożej za wszelkie przedmioty spożycia. Ani chłop, ani obywatel ziemski, ani dostawca, nie prowadzą szczegółowego rachunku połamanych kół, zamęczonych koni, zniszczonych zaprzęgów i zużytego czasu, ale wszyscy oni wliczają ogólnie te straty do kosztów trans-

portu, które im zwrócić musi konsument. Drogi nasze, pełne wybojów, kałuż, piaskowych i błotnych zapaści skutkiem nadmiernych deszczów stały się przez czas pewien nie do przebycia — i to nietylko w zapadłych kątach, ale nawet w okolicach Warszawy. Wozy, które nie mogły korzystać z szos, nie zdołały przebrnąć grząskich gościńców. O dostawach terminowych, o przywozie produktów na targi, wogóle o komunikacyi wewnętrznej nie można było myśleć.

Kto temu winien? Przedewszystkiem nieudolni i niedbali wójci gmin. Zawdzięczając swoje stanowiska wyborom ciemnego ludu, który dotychczas nie zrozumiał ważności dobrych dróg, unikają wszelkimi sposobami narażania mu się używaniem jego sił do pracy, mającej na widoku użyteczność publiczną. Od czasu do czasu bądź z obawy przed napomnieniem urzędowem, bądź skutkiem wyraźnego nakazu, wzywają okolicznych włościan i dwory do szarwarku. Warto widzieć ten szarwark! Zbiera się masa wozów i ludzi, którzy zakładają sobie formalne obozowisko: jedzą, palą, piją, gadają, śród nich wójt lub sołtys dodaje bodźca do uciechy, ażeby jednak pozostał jakiś ślad tej szarwarkowej wyprawy, ten i ów troszkę pokopie lub przywiezie furkę piasku. To się nazywa: „naprawa drogi.“ Naturalnie pozostaje ona w takim samym stanie — albo gorszym — w jakim była poprzednio. I znowu koła się na niej łamią, konie z wysiłku padają, a jeśli prowadzi przez rzeczkę — w jesieni i na wiosnę ludzie się topią. Gdyby istniał jakiś stały, surowy nadzór, któryby administracyę gminną pociągał do odpowiedzialności i przepisywał jej roboty z oznaczonym ściśle terminem — ta niedola, to urągowisko kultury — szybko by się skończyło. Dziś zdarzają się gdzieniegdzie wójci gmin dbali i energiczni, ale są to tak rzadkie ptaki, że można policzyć ich na palcach.

Kłamstwa reporterów

Kłamstwa „sylfów“ dziennikarskich są zjawiskiem znanem. Ci ludzie, łaknący lekkiego zarobku a dostatniej wygody, z interesu i potrzeby podniecają sztucznie puls życia dla wytworzenia gorączki i podnoszą o kilka tonów swój głos dla wytworzenia wrzawy, która ich karmi, odziewa i racyą bytu obdarza. Naturalnie posuwając się konsekwentnie za biegiem pragnień, w czasach ciszy i jałowości życia robią krzyki i wypadki — czyli poprostu kłamią. Za granicą doszli do daleko większej bezczelności: spekulują z dnia na dzień, nie kłopoczą się wcale o to, że dzisiejsza ich kaczka będzie miała jutro obcięte nogi i skrzydła. Ogłosić rozmowę z jakimś dostojnikiem, która nigdy się nie odbyła, zmyślić fakt, który nigdy nie istniał — jest to zwykłą ich sztuczką, po której przyłapani i wysmagani nie czują żadnego wstydu i nie doznają żadnych wyrzutów sumienia. Nasi są skromniejsi i bojaźliwsi. Puszczają w obieg doniesienia niezbyt drażniące i do sprawdzenia trudne, przybierają je w formę pogłosek, rozsnuwają jednocześnie w kilku pismach, tak że ta ich pajęczyna nieraz czepia się prasy przez kilka tygodni i nikt nie zadaje sobie trudu, ażeby ją uprzątnąć. Od czasu do czasu wszakże jakieś kłamstwo zostaje szybko przybite gwoździem do reporterskiego języka. Tak właśnie przed kilku dniami nie udała się „sylfowi“ improwizacya o sprzedaży i zburzeniu ruin historycznych w Czersku*). Biedak przerachował się! Przypuszczał, że będzie tę malowaną krowę doił przez parę miesięcy i sprzedawał dziennikom fałszowane mleko, aż tu nagle zamknięto mu źródełko dochodu. Ale nie żałujmy go: wynajdzie on sobie wkrótce nowe kłamstwo, które mu „żyć pozwoli.“ Bo i taki delikatny człowiek, który przecie nie może rąbać drzewa lub wyrabiać cegły — „także żyć potrzebuje.“

*) Zaznaczyliśmy tę błędną wiadomość w nr. 28 *Prawdy*.

Nowy typ.

Ludzie na całym świecie lubią taniość. Więc spekulanci dogadzają temu ich upodobaniu rozmaitymi fortelami bez uszczuplenia swojego zysku. Wydawcy pism dają swym abonentom darmo książki lub albumy, ale każą im drogo płacić za przesyłkę; zarządy kolei zniżają ceny biletów, ale zmuszają do nabywania „kart miejsca“; hotelarze wynajmują tanio pokoje, ale zdzierają za pościel itp. Jednym z najbardziej rozpowszechnionych sposobów wyciągania osłoniętą ręką pieniędzy z kieszeni spożywców są napiwki kelnerskie. Właściciele restauracyj i kawiarni nie płacą żadnej pensyi swej służbie, często nawet pobierają od niej wysoki haracz, co ona musi pokrywać sobie niby dobrowolnem a w rzeczywistości przymusowem opodatkowaniem gości. Jeżeli kelnerowi nie dacie napiwka, on was do sądu nie pozwie, ale tak potraktuje, że drugi raz odechce wam się tej niegrzeczności względem niego. Obecnie przywileje kelnerskie zaczynają się przenosić do innych stosunków. Powstał w Warszawie nowy typ rządcy domu, który od każdego najmu mieszkania ściąga dla siebie łapówkę, sięgającą nieraz, przy kosztownych lokalach, zwłaszcza sklepach, do kilkuset rubli. Jeżeli taki jegomość dostrzeże, że ktoś jest bardzo zadowolony ze swego mieszkania, albo że kupiec chce się utrzymać przy zajmowanym sklepie, natychmiast wypowiada komorne, a dopóty kręci i mota, dopóki nie otrzyma datku. Ilu już dziś jest właścicieli domów, którzy swych rządców skazali na zarobek kelnerski, tj. nie płacą im pensyi — nie wiemy; dzienniki wszakże wzmiankowały, że tacy spekulanci są już dość liczni. I po co ten nowy szwindel? Czy nie byłoby prościej i uczciwiej wynagradzać rządców domu — jak to zresztą czynią dotychczas poważni gospodarze — a wydatki z tego tytułu rozkładać na lokatorów? Nowy zwyczaj jest nietylko dla tych ostatnich uciążliwszy, ale dla wszystkich demoralizujący, bo otwiera pole do nadużyć i osłabia w społeczeństwie zasady moralne. Już mamy dosyć rozmaitych odmian łapownictwa, trzebaż je jeszcze mnożyć?

Daremna skarga.

Jedna z czytelniczek naszych występuje z zacną obroną poniewieranych w prasie i krzywdzonych w życiu istot, których niesława świadczy przedewszystkiem o naszym starym nałogu wzgardy i niesprawiedliwości dla warstw niższych. „Ogół — pisze korespondentka — na służące narzeka, ogół widzi w nich istoty wyzute ze wszystkich uczuć szlachetniejszych, uosobienie rozpusty i wyuzdania. Na co się przydadzą projektowane dla nich szkoły, jeśli najmoralniej wychowana dziewczyna odrazu wystawiona będzie na zaczepki pana domu, syna lub brata? W służącej żaden mężczyzna nie uszanuje godności kobiecej, lecz patrzy na nią jak na przedmiot nocnej zabawy i zaspokojenia żądzy, a gdy ona okaże opór, usłyszy cyniczne zapytanie: „czy cię ubędzie?“ Oj nie ubędzie, ale często *przybędzie*. To wszakże nie szkodzi chlebodawcy, który usprawiedliwia się: „nie ja, to drugi.“

Przerywamy list naszej czytelniczki, gdyż poruszona przez nią sromotna sprawa jest zbyt znana, ażeby potrzeba było ją dalej rozwijać. Wszyscy wiemy, że nasi czcigodni „ojcowie rodzin“ lubią urządzać sobie przy „świętem ognisku domowem“ małe haremiki. Znamy nawet wypadki, w których moralne panie, wynajmujące kawalerom pokoje umeblowane, nakazują swoim służącym powolność dla młodych lokatorów. Słowem ta rozpusta odbywa się na wielką skalę. Wszystko to jest faktem niewątpliwym, ale jeśli szanowna korespondentka żąda od nas, ażebyśmy wypalili tę zgniliznę, to żąda za wiele. Złego, które tak szeroko i głęboko zapuściło korzenie, nie wytępi najwymowniejszy protest. My musimy przez odpowiednie wychowanie, wpływy literatury i opinii publicznej wyleczyć się naprzód z ogólniejszej wady, której ta jest tylko odroślą — ze znieważania ludzi niższego stanowiska. Dopóki prasa nasza ciągle przezywa stróża — rycerzem miotły, dorożkarza — sałaciarzem, a służącą — garnkotłukiem, dopóty ten garnkotłuk nie budzi w swych chlebodawcach nawet litości.

BADANIA NAUKOWE

NOWA „HISTORYA POWSZECHNA.“

Można kpić ze specyalizacyi, cechującej dzisiejszą naukę, jak to czynią terminatorzy cechu uczonego, można biadać z tego powodu, jak to robił w swoim czasie Renan, lecz ani same żarty nowozaciężnych szeregowców armii naukowej, ani skargi umysłów stęsknionych za wielkiemi syntezami i budującemi ducha prawdami nie zmienią nieubłaganego faktu — misternego podziału pracy w wiedzy dzisiejszej. To lubowanie się w miazdze naukowej, to rozdrabnianie i proszkowanie przedmiotu dla badań mikroskopijnych do tego stopnia przejęło obrzydzeniem dusze spragnione rzeczy wielkich, piorunujących i olśniewających, iż wraz z marzycielem, Williamem Morrisem, przepowiadano zupełne zawalenie się gmachu nauki pod ciężarem niepotrzebnego balastu. Morris opisuje nam w swej utopii, „The news of nowhore,“ jak British museum opustoszało, porosło mchem i powojem, a foliałów i pomników historycznych pilnuje staruszek, czujący nieprzeparte zamiłowanie do zabytków dawno minionej przeszłości. Nim to atoli nastąpi, musimy liczyć się z faktem specyalizacyi, miarkować swe porywy, wymagania i pragnienia. Musimy zrezygnować z Arystotelesów, obejmujących tytanicznym umysłem cały obszar poznania ludzkiego; encyklopedyści tego rodzaju, dźwigający na barkach swych jak Atlas całą wiedzę, należą dziś do dziedziny bajek z tysiąca i jednej nocy. Tylko szarlatan albo obłąkaniec może obecnie pokusić się o zdobycie tego rodzaju pretensyonalnego stanowiska. Lecz co gorsza, są oddzielne gałęzie, których nie sposób ogarnąć jednym rzutem oka. Podręczniki, poświęcone tym dziedzinom, są przeznaczone dla chcących poznać treść, charakter i zadania danej wiedzy. Lecz o wyczerpaniu materyału faktycznego, nagromadzonego i rozproszonego po dziesiątkach tysięcy dzieł, monografij i artykułów, o zużytkowaniu i uprządkowaniu tego ogromu, o zbudowaniu zeń architektonicznie pięknej świątyni, gdzie składanoby hołdy geniuszowi ludzkości — mowy być nie może. Do takich właśnie upośledzonych nauk należy historya. Po Schlosserach, Bekkerach, Weberach i in. żaden poważny uczony nie podejmował się pisania wyczerpującej historyi powszechnej o zakroju metodologicznie naukowym. Mówiąc nawiasem, potrzeba byłoby na to wieku Matuzalowego. Od lat kilkunastu, a nawet wcześniej, praktykują się w Niemczech zbiorowe wydawnictwa historyj powszechnych, historyj państw europejskich itp., gdzie każdy dział wychodzi z pod fachowego pióra. Gdy znany dziejopis nie-

miecki, Lamprecht, zaczął wydawać swą „Historyę niemiecką,“ podniósł się wrzask kpin wraz ze złowieszczemi przepowiedniami, które po części sprawdziły się. Przez słynne to dzieło przechodzi czerwoną nicią myśl nader doniosła pod względem historyozoficznym — o wpływie mas i czynników społecznych. Natomiast szczegóły stoją niekiedy niżej krytyki. Pośpiech roboty, chęć możliwie prędkiego sklecenia uogólnień spaczały jej wartość. Oczywiście w historyi powszechnej tego rodzaju prace, nacechowane jednolitością i indywidualnością poglądów, leżą po za obrębem możliwości. Za to powstało obecnie dzieło zbiorowe w tym zakresie, które odpowiada wymaganiom nauki współczesnej. Pod redakcyą Helmolta wyszedł przed miesiącem pierwszy tom „Historyi powszechnej“ *), opracowanej przez słynnych specyalistów, stojących każdy w swym fachu na wysokości wiedzy. Znajdujemy tu nazwiska takie, jak Józ. Kohlera, koryfeusza prawa porównawczego, Jerzego Adlera, badacza historyi ruchu społecznego, antropologa Rankego, geografa Ratzla itd. Że dzieło szwankuje pod względem jednolitości kierunku, wychodzi na jaw już w pierwszym tomie, gdzie rozmaici badacze przeczą sobie wzajemnie z po za muru granicznego swych działów. pomimo to nie zbywa mu na głębszych podstawach filozoficznych. Metoda i historyozofia zostały zaznaczone we wstępie, a nadto ujawniają się w samym doborze współpracowników, mających wiele punktów stycznych. Wszyscy oni hołdują metodzie porównawczo - ewolucyjnej, wszyscy chylą czoło przed zdobyczami etnologii, wszyscy wreszcie uznają doniosłość życia społecznego w wirze wypadków i zajść, które zwykliśmy nazywać dziejami. Historya jako bigos anegdot o wielkich ludziach, opowiadań o intrygach dyplomatycznych i bitwach krwawych nieodwołalnie straciła kredyt w nauce. Dziejopisarz powinien ześrodkować swą uwagę na życiu społecznem i kulturze. Badając przejawy duchowe narodów, musi on dostrzedz i uwzględnić ślady dziedzictwa po innych, pierwotnych. Wszystkie składniki naszej cywilizacyi w zarodach swych sięgają czasów przedhistorycznych. Tu przestępujemy próg etnologii, bez której, zdaniem Helmholta, wszelkie historyczne badanie wisi w powietrzu. Ze stanowiska widzenia rozwojowego zaciera się różnica pomiędzy cywilizacyą a stanem pierwotnym, t. zw. naturalnym, a więc wszelkie dotychczasowe klasyfikacye, oparte na różnicy kultury, tracą racyę bytu. Grecy w perspektywie etnologicznej reprezentują stan kultury połowicznej. Jakiż w takim razie obrać probierz dla porządkowania materyału historycznego? Podstawę chronologiczną odrzuca Helmholt stanowczo chociażby dlatego, że zawodzi nas, gdy zapuszczamy się w krainę mroków dziedziny etnologicznej. Kultura jako coś bardzo złożonego nie nadaje się do roli nici Aryadny w labiryncie historycznym. Helmholt skłania się przeto — kto wie, czy nie zbyt lekkomyślnie — do podziału geograficznego. Ludzkości oprócz tego nie należy badać ze stanowiska narodowościowego i państwowego, gdyż w stanie mgławicy dziejowej nie zna tych form społecznych. Nowa „Historya świata“ dzieli ją wskutek tego na grupy geograficzne, przyczem poświęca tom pierwszy Ameryce i oceanowi Spokojnemu. Podział ten nie jest bynajmniej wyłącznie schematem, gdyż wypływa z zasad historyozoficznych teoryi Ratzla. Słynny ten uczony upatruje w warunkach geograficznych, wśród których żyje społeczeństwo, czynnik decydujący o jego trybie życia i kulturze. Miecznikow w pięknej pracy „Les grands fleuves historiques“ usiłował wytłomaczyć całą historyę Wschodu wpływem wielkich rzek, których brzegi zamieszkiwały odnośne ludy. Ratzel pojmuje rzecz nieco obszerniej, gdyż w swej słynnej „Bodentheorie“ bierze w rachubę całokształt warunków geograficznych. W czasach historycznych te ostatnie stanowią podkład, na którym rozwija się handel, a wraz z nim państwo, gdyż zdaniem Ratzla dwie te potęgi idą łącznie. Polityka bez interesów handlowych jest według niego pozbawioną treści. Koleje i traktaty handlowe są trofeami zaborów.

Nie będziemy tu rozstrzygali, czy Prokrustowe łoże tej teoryi nie okaże się za ciasnem, dziecinnem łóżeczkiem dla kolosa-ludzkości, idzie nam bowiem tylko o zaznajomienie czytelnika z treścią nowej „Historyi powszechnej.“

Po przedmowie Helmolta następuje praca prof. Kohlera o „Podstawowych pojęciach historyi rozwoju ludzkości,“ gdzie autor wykłada piękną myśl, iż owe dzieje są rozwojem ukrytych w niej zarodków. Ratzel obszernie rozwodzi się nad „Człowiekiem jako objawem życiowym ziemi.“ Ranke zaznajamia nas z tryumfami nowszej archeologii i paleontologi, a wreszcie Conrad Häbler na podstawie zdobyczy etnologii nowoczesnej daje zarys historyi ludu Maya, który historycy uporczywie ignorowali, gdy raczyli wspomnieć półgębkiem i nawiasem o Aztekach i Inkach. Dopiero słynna instytucya Smithsoniańska uchyliła rąbek zasłony z ciekawego obrazu, jaki przedstawia historya tego środkowo-amerykańskiego społeczeństwa, które stworzyło piękną kulturę bez wojska i bitew, które nie zdradza w niczem zamiarów wojowniczych. Wreszcie ten sam autor wykłada historyę społeczną Ameryki Stanów Zjednoczonych, posługując się rezultatami prac archiwalnych.

To, co przytoczyłem uprawnia chyba do sądu, iż nowa „Historya powszechna“ stanowi swego rodzaju epokę: po raz pierwszy nastąpiło zbratanie dziejów powszechnych, etnologii i socyologii. Czy ślub ten został zawarty na warunkach najbardziej korzystnych dla nauki i z jednakowym pożytkiem dla wszystkich trzech sprzymierzeńców, pokaże przyszłość. Jedno nie ulega wątpliwości, iż jest to zalążek konfederacyi ściślejszej i potężnej.

H.

LITERATURA I SZTUKA

LITERATURA POLSKA.

E. Biernacki: *Istota i granice wiedzy lekarskiej.* Warszawa 1899 („Biblioteka dzieł wyborowych“).

Często słyszymy zarzuty, czynione lekarzom, że przedłużają umyślnie choroby, że są przyczyną śmierci chorego itd. Zarzuty te — w znacznej części wypadków całkiem niesłuszne — pochodzą stąd, że ogół nie ma zazwyczaj pojęcia o istocie i granicach wiedzy medycznej. To też dr. Biernackiemu należy się wdzięczność za to, iż podjął trudne zadanie poznajomienia szerszych kół publiczności z obecnym stanem medycyny, a zwłaszcza terapii. Koła te są przekonane, że tylko ten może dobrze leczyć, kto dobrze rozpozna chorobę. Tymczasem są to czynności, niepozostające w ścisłym z sobą związku, bo medycyna, z małymi wyjątkami, nie posiada środków na choroby. Jak dawniejsze, tak i dzisiejsze lecznictwo jest przedewszystkiem objawowem, tj. usuwającem nie samą chorobę, lecz zwalczającem tylko niektóre jej objawy.

Wyłożywszy treściwie historyę medycyny, zatrzymuje się autor cokolwiek dłużej na szkole wiedeńskiej. Po wielu nieudanych próbach leczenia chorób rozmaitego rodzaju miksturami, puszczaniem krwi, środkami przeczyszczającymi itd., zapanował w medycynie nihilizm terapeutyczny, którego przedstawicielem była właśnie owa szkoła. Znakomity klinicysta Skoda wygłosił wtedy zdanie: „możemy chorobę rozpoznać, opisać i zrozumieć, ale nie łudźmy się, abyśmy mogli ją uleczyć jakimkolwiek środkiem.“ Rezultatem tego kierunku było to, że stwierdzono istnienie samoleczenia, jako prawa przyrodniczego, odkrytego już zresztą przez Hipokratesa. Szkoła wiedeńska pozostawiła chorych bez wszelkich leków, a jednak odsetka śmiertelności nie była większą, niż przy poprzednim sposobie. Samoleczenie więc niewątpliwie istnieje; ale dopiero w najnowszych czasach, dzięki postępom bakteryologii, został wyjaśniony jego przebieg w chorobach zakaźnych. Względem innych nie mamy jeszcze wyjaśnienia procesu. Środki farmakologiczne, oprócz nader nielicznych wyjątków (chinina, rtęć, jad, przetwory salicylowe), są tylko środkami pomagającymi samoleczniczej sile przyrody, t. zw. objawowymi.

Ponieważ więc lekarze zmuszeni są posługiwać się prawie wyłącznie takimi środkami, ponieważ rozpoznanie choroby nie jest ściśle związane z leczeniem przeto zachodzi między nimi niemal równość w zakresie niesienia pomocy. A jeżeli tak, to skąd powstaje sława niektórych? Polega ona na czynniku czysto psychicznym, na zaufaniu chorego. Zaufanie to zyskuje sobie zazwyczaj lekarz nie sławą naukową i erudycyą, lecz przymiotami czy to osobistymi, mianowicie umiejętnością obchodzenia się z pacyentami. Słynny klinicysta francuski, Trousseau, na zapytanie, co trzeba robić, aby zdobyć dużą praktykę, odpowiedział: „Beaucoup de bon sens, un peu de tact et du courage.“ — „Et la science?“ — „La science?... Oui, elle peut quelquefois servir.“

Tej kolosalnej roli czynnika psychicznego przypisać należy powstawanie sekt lekarskich, których i teraz nie brak (homeopatya, medycyna ludowa, „leczenie naturalne“ itd.). Ale choć istnieje wielka różnica między sekciarzami medycyny z ich jednostronnością a lekarzami, to jednak bacząc na genezę sekciarstwa, wątpić należy, aby ono kiedykolwiek wygasło. Instynkt zamozachowawczy nakazuje choremu ciągle szukać pomocy. Jeśli medycy urzędowi nie mogą mu jej udzielić, zwraca on się gdzieindziej, do sekciarzy lekarskich, gdzie choć nie znajdzie ulgi, to jednak zawsze obietnicę życia i zdrowia. Tem można objaśnić ciekawy fakt, że ogół coraz więcej usuwa się od doktorów, udając się do sekciarzy lekarskich. Dzieje się to najwięcej może w Niemczech, gdzie wiedza lekarska w ostatniem stuleciu poczyniła największe postępy.

W końcu autor wykazuje różnicę między sekciarstwem lekarskiem a medycyną. Dowodząc wielkiego pożytku ostatniej dla społeczeństwa, a czasem i dla... chorych (odsetka przypadków, w których od dokładnego rozpoznawania choroby zależy podanie odpowiedniej pomocy, środki narkotyczne), domaga się opieki państwowej i społecznej nad medycyną naukową.

Po przeczytaniu pracy dr. Biernackiego niejeden czytelnik może sobie wyrobić zbyt niepochlebne zdanie o sztuce lekarskiej. Autor bardzo mało mówi o chirurgii i akuszeryi, gdzie zbawienne skutki są najwidoczniejsze, a przeważnie o medycynie wewnętrznej, gdzie o rezultatach leczenia najtrudniej jest wnioskować. Jest on zbyt wielkim pesymistą, gdy względem środków farmakologicznych, zdaniem naszem niesłusznie, stara się zaszczepić szerszemu ogółowi tę swoją niewiarę.

*) „Weltgeschichte,“ Lipsk i Wiedeń. Tom I-szy, str. 630.

Można się również z autorem nie zgodzić co do równości lekarzy w zakresie podawania pomocy i co do tego, jakoby lecznictwo było zbiorem przeważnie empirycznych wiadomości, potrzebujących głównie pamięci. Chałubiński np. sławę swoją zawdzięczał nie erudycyi lekarskiej, nie empiryi, ale głównie swojej znakomitej metodzie wynajdywania wskazań lekarskich, do której doszedł drogą głębokiego myślenia.

Książka dr. Biernackiego, zawierająca dużo ciekawych faktów, będąca przytem niejako szczerą pogawędką inteligentnego lekarza z ogółem, znajdzie niewątpliwie szerokie koło czytelników. Jest to jedyna praca tego rodzaju w naszej literaturze.

W końcu dodać należy, iż autor uznaje z wielu już dzisiaj medykami potrzebę „etyki lekarskiej," chociaż zgadza się z tem, że może ona czasem stanąć w sprzeczności z zadaniem etyki ogólnej *).

Dr. W. R.

Juliusz Kossak.

Zgonem Juliusza Kossaka odwróciła się w księdze dziejów malarstwa polskiego jedna, bardzo ciekawa i bardzo ważna karta. Zapisał on ją całkowicie sam, siłą swego oryginalnego, szczerego talentu. Niech, co chcą, mówią o wpływie Horacego Verneta na twórczość Kossaka, pomimo to pozostanie on na zawsze w pamięci, jako talent samodzielny i rdzennie swojski. Bo jest on przedewszystkiem malarzem polskim i w tem tkwi klucz do odgadnięcia i zrozumienia charakteru i znaczenia jego twórczości. Mycielski nazwał go „popularyzatorem sztuki polskiej," i jest to, zdaje się, najtrafniejsze określenie. Przed nim sztuka u nas była tylko zamorskim kwiatem i owocem, przywożonym z daleka i drogim, a więc dostępnym jedynie dla powonienia i smaku wielkich panów. Włosi i Francuzi, hodowani u nas za Stanisława Augusta, malowali magnatów i ich siedziby dla magnatów i dla upiększenia ich siedzib. Norblin, a po nim Piwarski, zaczęli odtwarzać chłopów, jeśli tak można powiedzieć, za wcześnie, kiedy tematy z życia ludu uchodziły za ordynarne; Michałowski i Orłowski również wyprzedzili poniekąd swoją epokę, niebardzo zresztą odpowiednią dla rozkwitu sztuki. Pierwszy dopiero Juliusz Kossak swoimi tematami i swoją ogromnie prostą i dla szerokiego ogółu przystępną techniką sprowadził sztukę z obłoków i uczynił ją zrozumiałą dla tych warstw społeczeństwa, które jej dotąd ani odczuć, ani zrozumieć nie mogły: dla obywatelstwa i średnio-zamożnego mieszczaństwa.

Urodzony r. 1824 w Wiśniczu w Galicyi, miał zamiar poświęcić się adwokaturze i odbywał studya na wydziale prawnym uniwersytetu lwowskiego, lecz drzemiący mu w duszy rodzinny talent do malarstwa (bo i starszy jego brat, chociaż dyletant, pozostawionymi po sobie obrazkami dowiódł dużych zdolności), a może i namowy osób, które się na nim poznały, skłoniły go do zamienienia kratek sądowych na sztalugi. Pierwszym jego nauczycielem rysunków i malarstwa był Jan Maszkowski, który w gronie swych uczniów miał również i Grottgera. Następnie udał się młody artysta na wieś i przez kilka lat objeżdżał dwory szlacheckie i pałace magnackie, biorąc udział w wyścigach, polowaniach, kuligach, wszędzie obserwując naturę, ludzi i zwierzęta, życie i ruch. Szkice jego z tego okresu, jakkolwiek jeszcze nieudolne w wykonaniu, zdradzają już poczucie ruchu i rozumienie konia.

W r. 1853 przenosi się Kossak do Paryża w warunkach artystycznie wyjątkowych. Bo większość malarzy, jadących na studya za granicę, to artyści młodzi, początkujący, uczniowie, którym się po głowach snują marzenia mgliste o sztuce i sławie, ideały półsenne, to artyści, których duch nie zdołał się jeszcze ujawnić w pewnej określonej formie, skrystalizować. Dopiero tam na obczyźnie, na obcych wzorach, obcych kierunkach, pod obcym wpływem wyrabiają sobie indywidualność, może i samoistną, lecz nie zawsze swojską, a przynajmniej nie rdzennie narodową, niezupełnie — jeśli tak się wyrazić można — czystą, od naleciałości cudzoziemskich wolną. Inaczej było z Kossakiem. Jadąc w świat szeroki, piękny, lecz nie polski, niósł ze sobą duszę prawie zupełnie wyrobioną, indywidualność już skrystalizowaną. Wątpliwości ulegać nie mogło, że polski lub ukraiński łan, rumak, wesoły szlachcic z polowań, kuligów i wybitki, chłop krakowski na zawsze pozostaną mu wiernymi towarzyszami, modelami, gotowymi na każde jego skinienie. Kossakowi było niemal wszystko jedno, czy siedzieć w ciemnych murach Paryża, czy bujać dalej po stepach Wołynia i Podola. Wyszumiał się wśród łąk i pól zielonych, wyharcował tak wiele, że i w Paryżu, śród czterech ścian pracowni, gdy oczy przymknął, widział przed sobą szmaragdowo-zielone morze traw, słyszał kołysanie się trącanych tchnieniem stepowego wiatru zbóż i czuł wonie ziół, płynących zdala od jakichś przestworzy nieskończonych. Więc Paryż nie mógł spaczyć jego indywidualności szczerej i wybitnej, nie mógł mu narzucić przewagi swojego ducha, mógł tylko wydoskonalić i wysubtelnić jego technikę, zaimponować mu formą, nigdy treścią. Jeśli przypadkiem konie Kossaka łączy jakieś pokrewieństwo z rumakami Horacego Verneta, to należałoby prędzej szukać powodu tego w pokrewieństwie duchowem obu mistrzów, niż we wpływie, jaki jeden z nich na drugiego wywarł. Paryż więc dodał tylko śmiałości i pewności rysunkowi Kossaka i nauczył go używać kolorów, którymi posiłkować się nie umiał poprzednio zupełnie.

W r. 1860 powraca Kossak do kraju, gdzie przez pewien czas kieruje działem artystycznym *Tygodnika ilustrowanego*, podnosząc pod tym względem wartość pisma, a jednocześnie zdobywając sobie i swej sztuce coraz szerszą popularność w kraju. Kopalnię tematów i pomysłów ma niewyczerpaną. Wincenty Pol („Mohort," „Pieśni Janusza," „Rok myśliwca" itd.), Bodzantowicz („Zawsze oni"), T. T. Jeż („Pamiętniki starającego się"), oto skarbnica, z której czerpie nieustannie, której proste, lecz prawdziwe klejnoty najwięcej odpowiadają jego prostej, czysto swojskiej fantazyi. Ta przez nich malowana szlachetczyzna, wyidealizowana, sielankowa, nęci wzrok artysty swą zewnętrzną, strojną, dekoracyjną szatą, lub ciągnie oczy jego w przeszłość dawną, szumiącą skrzydłami husaryi, płótnem proporców, dźwięczącą brzękiem szabel, stukiem kopyt, tonami teorbanów lub pieśni rycerstwa i kozaków. Kossak ani w teraźniejszości, ani w przeszłości nie doszukiwał się i nie widział tragizmu: nie widział słabych, często brudnych dusz pod błyszczącym atłasem kontuszów, nie widział „próchna, co serce porze," ba, nie widział nawet rzeki krwi i łez, nie słyszał jęków bólu, nie słyszał złośliwego chychotu drwiącego z głupoty ludzkiej szatana — na pobojowiskach. Zawsze i wszędzie pociągała go tylko strona malownicza, dekoracyjna przedmiotu: harmonia, może mdła, lecz zawsze ładna kolorytu, bujność ruchów, piękno koni i strojów. Czy można mu brać za złe takie upodobania? Bynajmniej. Nie jest przecie winą łabędzia, że jak orzeł szybować nie potrafi.

Po paroletnim pobycie w Warszawie przenosi się Kossak wraz z Józefem Brandtem w r. 1869 do Monachium, gdzie spędza rok jeden malując po dawnemu ulubione swoje sceny szlacheckie i batalistyczne, przerzucając się od czasu do czasu i do tematów rodzajowych („Omnibus warszawski"). Wreszcie żeni się i osiada w Galicyi, gdzie pozostaje aż do tej chwili, póki śmierć po długich latach służby dla sztuki na wieczne odpocznienie mu nie zadzwoniła.

Rzecz u nas niemal niebywała! Nie minęło więcej, niż parę miesięcy od jego zgonu, a już i Kraków i Warszawa zdobyły się na wystawę jego dzieł. Wystawa warszawska, jakkolwiek niekompletna, bo może nawet połowy dzieł Kossaka nie zebrała, daje jednak możność poznania charakterystycznych cech talentu zgasłego malarza i jeśli nie dostarczy materyałów do wyczerpującego studyum o nim, pozwala w każdym razie zrobić szkic jego postaci artystycznej.

Kossak — to przedewszystkiem malarz konia. Na każdym obrazie, każdym szkicu jego koń jest postacią główną, nawet tam, gdzie obok niego są ludzie, nie ustępuje on im pierwszeństwa: we wszystkich portretach konnych Kossaka najciekawsze, najlepiej malowane i, zdaje się, najbardziej podobne są konie. Bo też Kossak i „duszę końską" wybornie zna i rysować ją potrafi. Czy to będzie pełen ognia rumak bojowy („Hrabia Morsztyn"), czy to wolnym truchcikiem biegnący konik za luzakiem („Luzak") czy elegancki folblut wyścigowy, czy zmęczona szkapina chłopska, wszędzie mamy przed sobą doskonale odczutego, psychologicznie prawdziwego, bardzo żywego konia. Proszę się przypatrzeć chociażby temu, co przywiązany do płotu, cierpi od much, pragnienia i gorąca („Lato"), a jednocześnie porównać go z tym, który w noc zimową cierpliwie czeka podczas mrozu przed gankiem dworku („Zima"), jaka tu różnica w nastroju, jak różnie pojął obu artysta.

Natomiast na psychologii człowieka Kossak się nie zna. Porównajmy jakąkolwiek jego akwarelę z jakimkolwiek obrazem, tylko treści pokrewnej, Brandta. U tego ostatniego każdy kozak, każdy rycerz, to typ doskonały, całość sama w sobie, wykończone studyum; u Kossaka zaś człowiek jest tylko dodatkiem do konia. Gdzieniegdzie dobrze pochwyci tylko ruch postaci („Konrad Walenrod pod wieżą pustelnicy"), lecz nie potrafi odtworzyć twarzy; to też portrecistą jest bardzo słabym.

W salonie Zachęty zebrano prace zmarłego artysty od pierwszych niemal prób początkującego w swym zawodzie malarza („Polowanie w Łańcucie") może nie do najlepszych, lecz w każdym razie najpopularniejszych jego obrazów („Spotkanie Chmielnickiego z Tuhaj-Bojem," „Puk, puk," ilustracye do Mohorta, do Konrada Walenroda i in.). Można więc poniekąd śledzić, jakiemi drogami szedł rozwój jego twórczości i techniki, jak powoli drewniane figury koni i ludzi nabierały bardziej miękkich i plastycznych kształtów, jak w płótna wlewała się coraz szersza fala powietrza, jak z naiwnych, rażących kolorków układała się powoli miła harmonia barw. Bo harmonia ta jest tylko miłą, kolorystą w szerokiem słowa tego znaczeniu nie był Kossak nigdy. Jego akwarele, to tylko podkolorowane rysunki. Lecz za to rysunki przeważnie przepyszne pełne niczem niespętanego ruchu i tryskające życiem. Dlatego też może tak stosunkowo niewiele tracą obrazy Kossaka w reprodukcyi, temu może zawdzięcza on swoją szeroką popularność. Jego prosty, często naiwny koloryt, jego szeroki, pełny jakiegoś szlacheckiego rozmachu rysunek, nic dziwnego, że łatwiej przemawiały do wyo-

*) *Uwaga.* Etyka zawodowa, która nie zgadza się z zasadami ogólnej, nie jest żadną etyką, która przepisuje *ogólne* normy postępowania. *Red.*

braźni i smaku estetycznego szorszych mas, niż najwspanialsze symfonie barwne najlepszych kolorytów. A gdy dodamy jeszcze wspomnianą już prostotę i swojskość tematów, pojmiemy łatwo, gdzie leży źródło niezmiernej jego popularności i sympatyi, jaką sobie akwarele jego zdobyły. Bo błędy malarskie, których w obrazach jego nie brakuje, nie rzucają się w oczy przeciętnego widza. Nie razi go ani zbytnia jaskrawość plam barwnych na planach dalszych (błędu perspektywy powietrznej), ani wykroczenia przeciw prawom perspektywy liniowej, dzięki czemu taki np. Walenrod, gdyby się był wyprostował, mógłby śmiało zajrzeć w okienko wieży, za którem mrze z tęsknoty Aldona.

Lecz nie tu miejsce na rozbiór szczegółowy zalet i błędów Kossaka: nie miałem zamiaru pisać o nim wyczerpującego studyum. Chciałem przypomnieć tylko czytelnikom *Prawdy*, że do grobu zszedł jeden z najbardziej sympatycznych i najbardziej zasłużonych sług sztuki polskiej.

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚCI. K. Junosza: „Żywota i spraw Imć Pana Symcha-Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro," dwa tomy. Dodatek do *Gazety Polskiej*.

— S. M. Roguski: „Wilcze gardła" (167 str.). „Bibl. dzieł wyb."

DRAMAT. W. Feldman: „Sądy boże," dramat w 4 aktach z życia żydowskiego (119 str.). Fiszer.

PEDAGOGIKA. A. Mosso: „Fizyczne wychowanie młodzieży" (190 str.), tłom. S. Brzozowski. Lwów. Altenberg.

ESTETYKA. A. J. Jabłoński: „Co jest logiką w architekturze?" (48 str.).

DLA LUDU. K. Laskowski: „Kamienie," obrazek (10 kop.); „Wiersze" (12 kop.); „Z powrotem," obrazek (6 kop.); Ni: „Biedo," klechda K. W. Wójcickiego (5 kop.); Helistan: „Historya o Maćku Gruszce" (3 kop.); J. Marcinkowska: „W wielkim Tygodniu" (10 kop.).

— „Kapiele dla robotników," referaty komitetu hygienicznego Tow. lek. łódzkiego i komisyi specyalnej sekcyi technicznej łódzk. oddz. Tow. pop. przem. i handlu.

KONKURSY. *Gazeta Polska* ogłasza konkurs na fejleton humorystyczny, rozmiaru 200—400 wierszy. Nagroda 50 rb., niezależnie od honoraryum po 10 k. od wiersza. Termin 5 sierpnia.

POEZYE

DOLA.

Rosła brzozka sierota
Z pod kamienia przy drodze:
Wiatr, co w polu się miota,
Nieraz wstrząsnął nią srodze;
Nieraz śniegu sumioty
Całun snuły jej biały,
Nieraz brzozki sieroty
Gałązeczki łamały.
Oj, bo srogaż ta zima,
Co dąb z krasy odziera,
A gdzież brzozka wytrzyma?
Ot już, zda, się zamiera.
Wtem z za rzeki, z za góry
Tchnęło ciepłym oddechem,
Rozbłysnęły lazury,
Pierwszym wiosny uśmiechem;
Poszło lasem, łanami,
I po śniegu, po twardym
Uderzyło ogniami,
Jak płomiennym oskardem;
I mróz srogi się stropił,
Pęt lodowych zdjął brzemię,
Śnieg się we łzy roztopił
I łez falą wsiąkł w ziemię.
Na ognistym swym wozie
Przemknął Eliasz—grom runął:
Już po tobie, zły mrozie,
Z chmur rzęsisty deszcz lunął;
Piją roślin korzonki
Te ożywcze wilgocie,
Opłukały się łąki,
Trysły jaskry, łotocie.
Błaski złotych promieni,
Ich pieszczoty wiośniane
Rozegrzały do rdzeni
Drzewko zimą znękane.
Znów się w zieleń odziewa,
Znowu gibka i wiotka,
Gałązkami powiewa,
Szumi brzozka sierotka...
W takiej sile i krasie,
Tyle kipi w niej soków,
Tak wystrzela, iż zda się
Chce dosięgnąć obłoków.
Rzekłbyś dumne nadzieje
Szemrze z wiatrem-pieszczotą:
Ot — łan wkoło zasieje
I nie będzie sierotą!

*

Oj ty dolo, ty dziwo,
Co się włóczysz po ziemi,
Tym łan siejesz pokrzywą,
Innym kłosy złotemi,
Nieujętna, pierzchliwa,
Jak mgły rannej opary,
Jak ty szydzisz złośliwa
Z naszych pragnień, snów, wiary!

*

Przyszło wiejskie pacholę,
Chochlik psotny a żwawy,
I przez pustą swawolę
Gniecie kwiaty i trawy.
Ręką brzozki się czepia,
Zwisa na niej niecnota,
Łamie, na pół rozszczepia —
Ginie brzozka sierota...
Już nie rzuci nasienia,
W skwary dzienne, ni rankiem:
Ni starcowi da cienia,
Ni dziewczynie z kochankiem;
Ni w majowe wieczory
Ptaszę na niej przysiędzie,
A z długimi kędziory
Wietrzyk szumieć nie będzie.
Wyłamanej ze szczętem
Przyszło zginąć niebodze;
Świeci pniakiem uschniętym
U kamienia przy drodze;
A wiatr nad nią się żali
Tak boleśnie — aż stęka:
Nad mróz, piorun, co pali,
Stokroć gorsza zła ręka...
I nad brzozką zmartwiałą
Zeschłym liściem jej prószy,
A mnie zdało się — zdało —
Iż to ludzkiej jęk duszy...

Adam M—ski.

SPRAWY EKONOMICZNE

ROBOTNICY WĘDROWNI W ROLNICTWIE.

IV.

Zmiany w formach gospodarstwa wiejskiego zwykle bywają rozpatrywane z punktu widzenia agronomicznego; ekonomistów zajmuje przedewszystkiem wpływ na produkcyę krajową, dochody właścicieli ziemskich, ceny ziemiopłodów. Jednakże każda taka zmiana musi oddziałać na stosunki robotnicze. Dopóki istniała poczciwa „trzypolówka," stosunki te w dzielnicach, o których tu mówimy, były rzeczywiście stac i niezmienne." Z roku na rok praca szła utartym trybem: ilość siły roboczej, niezbędnej dla uprawy obszarów dworskich, pozostawała jednaką: czeladzi, deputantów i komorników zakontraktowanych starczyło na rok cały. Dziedzic wiedział zawsze z góry, ilu potrzebuje ludzi, komornicy zaś wiedzieli doskonale, ile dwór może uprawiać zboża, jaka ich czeka praca, jaka ilość ziarna dostanie im się w udziale przy młócce cepem. Rolę ceniono zawsze, lecz nie chcąc lub nie mogąc płacić pieniądzem, dziedzice skąpić jej komornikowi nie mogli; zaorywał on i zasiewał na swoje potrzeby 6—8 mórg gruntu własnym częstokroć sprzężajem, trzymał na swojem gospodarstwie parobka lub dziewkę. Pastwisk również nie brakło, nie było więc potrzeby liczyć się ściśle o bydło trzymane przez ordynaryuszów i komorników; to też ci miewali po dwie krowy, kilka sztuk trzody i owiec. Tak było w połowie naszego wieku.

Kiedy jednakże ceny zboża zaczęły wzrastać, nie pozostało to bez wpływu na stosunek dworu do robotników. Dążono do zwiększenia produkcyi, ziemia stała się cenniejszą: uszczuplono więc roli komornikom i ordynaryuszom zmniejszono ordynaryę w zbożu, zwiększono zaś cokolwiek płacę gotówką, bo i o pieniądze było teraz łatwiej. Oczywiście położenie komornika natychmiast zmienić się musiało zasadniczo: sprzężaju już nie potrzebował, a i bez parobka by się obył; trzymał go już odtąd dlatego jedynie, że musiał stawać do roboty z szarwarkiem, ale ten przymus karykaturował dawny stosunek: najmita utrzymujący najmitę jedynie dla wygody swego pracodawcy — to dziwoląg.

Wszakże podwyższenie cen zbożowych i ogromne postępy w agronomii, dzięki naukom przyrodniczym, doprowadziły do intensywnego gospodarstwa płodozmianowego, a obfitość kapitału, jakim w piątym i szóstym dziesiątku lat rozporządzali właściciele ziemi, ułatwiło ten przewrót.

Przy płodozmianie, który polega na wprowadzeniu do gospodarstwa uprawy roślin pastewnych, uszczupla pastwiska i ugory, pierwszą rzeczą było zmniejszyć liczbę krów komornikom, a owce usunąć zupełnie. Rozumie się, dziedzice pozwolili im trzymać jedną krowę na oborze dworskiej, co przecież nie poszło w smak gospodyni, która niechętnie rozstała się z „Krasulą"; gdzie zaś energiczny postępowy pan liczył się jedynie z wymaganiami racyonalnej agronomii, zabroniono deputantom i komornikom wogóle trzymać krowę i wydzielono mleko w ordynaryi. Komornik zwykle źle na tem wychodził, bo dostawał mleka mniej, niż miał dawniej; lecz jeżeli nawet ilość ta nie zmniejszyła się, to w każdym razie gospodarstwo komornika zgoła przestało istnieć. Sprzężaju już nie miał, krowy na swojej oborze nie posiadał, więc nie było też mierzwy; jeżeli przeto wydzielano mu zagon gruntu, to uprawić i umierzwić go musiał teraz dwór.

Lecz i pod innym jeszcze względem gospodarstwo płodozmianowe musiało wpłynąć na stosunek dworu do komornika. Przy trzypolówce gospodarstwo jego było odbiciem dworskiego; można było uważać go za dzierżawcę, naśladującego w małym rozmiarze dwór. Przy płodozmianie dwa te gospodarstwa stają się całkowicie niewspółmierne. Komornik nie może uprawiać roślin pastewnych, ani buraków; on potrzebuje żyta i ziemniaków, a w uprawie zboża był zainteresowany, bo mu chodziło o ów szesnasty korzec przy młócce. Dwór z tem liczyć się nie może, stosownie do wymagań postępu zmieniają się szlaki i komornik otrzymuje w coraz innem polu zagon, tak że nigdy nie wie, na jaki może liczyć plon; wydział przy młócce także zmienia się z roku na rok. Najbardziej wszakże zasadnicza zmiana na tem polega, iż intensywna uprawa w płodo-

zmianie wymaga z konieczności zwiększonej robocizny w pewnych, względnie krótkich terminach: przy sadzeniu, okopywaniu, pieleniu buraków i kartofli, w czasie żniw również trzeba więcej rąk, które podczas miesięcy zimowych są zbyteczne. Natura jednakże o tyle nie uwzględniła wymagań agronomii, że do każdej pary rąk dodała gębę, która w czasie zimy próżnować nie chce. Właściciele ziemscy wszakże musieli się liczyć z agronomią, a nie z naturą, zmniejszali więc liczbę ordynaryuszów i komorników, a szukali najmitów na dniówkę, którzy przez zimę mogliby się żywili, jak chcą i mogą.

Dodać należy do tego wprowadzenie maszyn rolniczych. Zastosowanie ich urosło w sposób wprost bajeczny, jak wykazują cyfry następujące:

Liczono w Niemczech gospodarstw, w których używano:

	w r. 1882·	1895:
pługów parowych	836	1,696
żniwiarek	19,634	35,084
młockarń parowych	75,690	259,069
innych młockarń	298,367	596,869
siewników	63,842	163,465

Oczywiście jest to zupełny przewrót. Niegdyś przez całą zimę rozlegał się po stodołach ruch rytmiczny cepów, po kilku ludzi miało co robić na klepisku przez dzień cały; dziś inaczej. Zajeżdża na rżysko młockarnia parowa, a setki rąk zaledwie nadążą wrzucać jej w paszczę snopy i zabierać worki posortowanego ziarna; albo też idzie przez kilka tygodni młockarnia sześciokonna, obsługiwana przez kilkadziesiąt rąk: przez zimę zaś pustki na folwarku, nie widać nikogo prócz kilku parobków i dziewek dozorujących inwentarza. Taki sam wpływ wywierają inne maszyny rolnicze; charakterystyczną ich cechą jest to, że oszczędzają one wprawdzie w sumie rąk roboczych, ale przez czas trwania pracy wymagają ludzi znacznie więcej, niż ich dostarczyć mogło dawne gospodarstwo rolne. Nie zapominajmy też o tem, że od czasu spadania cen na rynku zbożowym właściciele wielkich obszarów z konieczności musieli rzucić się do forsownej uprawy buraków cukrowych i kartofli dla gorzelni. Dziś w Prusiech zachodnich, Księstwie Poznańskiem i na Szląsku jest w ruchu 94 cukrownie, które przerabiają 3,650,000 tonn buraków, liczba gorzelni również wzrosła. Do uprawy zaś buraków, jak wspomnieliśmy, trzeba ogromnej ilości robocizny, a niema mowy o tem, aby ją otrzymać zwiększeniem ilości najmitów zakontraktowanych na cały rok. Zaczęto tedy poszukiwać robotnika, któryby pracował tylko na dniówkę, którego przez zimę żywić nie potrzeba.

Z chwilą wszakże, kiedy dwór nie chce utrzymywać już deputantów i komorników, skądże brać się mają parobcy? Dawniej dorastający syn komornika lub deputanta przyjmował ten obowiązek, a po śmierci ojca brał po nim w spadku dobytek i zajmował jego miejsce. Dziś zostać parobkiem, znaczy na zawsze wyrzec się myśli o własnem ognisku *), bo przy tych płacach, jakie wymieniliśmy, parobek zsiwieje i umrze, zanim będzie mógł oszczędzić tyle, aby kupić parcelę lub tylko zagospodarować się na dzierżawnej ziemi. W ostatnich latach, wskutek zupełnego braku robotnika, dwory podobno chętnie brałyby komorników, gdyby ich dostać mogły. Dziwić się temu bynajmniej nie można, gdyż położenie ich stało się zbyt niepewne; raczej dziwić się należy, że ta kategorya robotników wiejskich nie znikła jeszcze zupełnie. Tłomaczy się to tem, że stare pokolenie komorników nie zdążyło wymrzeć — stosunki zmieniły się na gorsze dopiero w ostatnich dwudziestu latach, a przerzucić się do innego zawodu, albo przejść do innej formy najmu komornik nie może, inaczej jego dobytek poszedłby na marne. Młodzież zaś słusznie unika tego położenia.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynika, że w bycie robotników rolnych wschodnich prowincyj państwa pruskiego w ciągu bieżącego stulecia zaszły zmiany wprost olbrzymie, że stosunki są tu w bezustannym zamęcie: widzimy powstawanie klasy najmitów, proletaryuszów wiejskich, jako skutek specyficznie pruskiej reformy wyzwolenia włościan: widzimy, jak ślady pańszczyzny zachowują się aż do naszych dni; widzimy dalej, jak pod wpływem zmian techniki w gospodarstwie rolniczem owe resztki pańszczyzniano przybierają wprost karykaturalne formy; widzimy, jak pod wpływem dalszych jeszcze zmian w technice agronomicznej powstaje ogromny popyt na pracę, lecz charakter tego zapotrzebowania zmienia się doszczętnie. Jakże wobec tego mówić o „stałości i niewzruszoności stosunków,“ o „pewności bytu robotnika wiejskiego“? Wolne żarty! Przewrót, jaki zmiany techniki wywołały w bycie robotnika przemysłowego, jest niczem w porównaniu z przewrotem, jaki tu zaszedł. Jeżeli chcemy określić jednem słowem tę zmianę, możemy powiedzieć, że patryarchalno-naturalistyczna gospodarka rolna została zastąpiona przez czysto kapitalistyczną.

Lecz ten kapitalizm rolniczy w krajach, o których mówimy, w kilku punktach różni się zasadniczo od przemysłowego. Naprzód zachodzi tu inny stosunek pomiędzy najmitą a przedsiębiorcą: robotnik wiejski nie przestaje jeszcze być gospodarzem do pewnego stopnia, jego gospodarstwo domowe jest zależne od rolnego, dla którego pracuje: najmicie trudno bywa nawet o dach nad głową, jeżeli nie chce przyjąć warunków, jakie stawia przedsiębiorca. Powtóre, istnieje po za zależnością ekonomiczną zależność prawno - polityczna robotnika od właściciela „dóbr rycerskich.“ Potrzecie, jest to kapitalizm, przy którym przedsiębiorca chronicznie odczuwa— brak kapitału. Wskutek tych cech odrębnych płaca robocza musi być nizką.

(D. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.

*) Charakterystyczną jest rzeczą, że na wsi z przerażającą szybkością wzrasta procent dzieci nieprawych, z powodu właśnie tego, że założenie własnego gospodarstwa staje się coraz trudniejszem; młodzież żeni się późno, popędy płciowe muszą więc zostać zaspokojone po za związkiem małżeńskim.

W DALI.

Suchedniów. W początkach lipca r. b. otwarty został oddział okulistyczny ruchomy Instytutu oftalmicznego warszawskiego. Zarządzającym tą stacyą leczniczą jest doktór Cetnarowicz, a jego pomocnikiem dr. Wigura, lekarz górniczy w Suchedniowie. Przyjęcia chorych urządzono od godz. 11 rano do 2 po południu. Biedni płacą za poradę 10 kop.

Nowomińsk. W początkach bieżącego miesiąca kapitał zakładowy wszystkich kas oszczędności powiatu Nowomińskiego wynosił sumę 71,057 rubli. Wkłady 167,337, procenty i kary 25,234 rb. Zaliczek udzielono na sumę 45,365 rb. Czysty zysk wyniósł 11,217 rb.

Z za Bugu zawiadamia korespondent *Słowa* o doniosłości dla gubernij litewskich, Wołynia i Podola Ukazu Najwyższego, wydanego dnia 4 marca r. b. W myśl tego Ukazu ma być wolno na przyszłość osobom pochodzenia polskiego, które sposobem życia nie odróżniają się od włościan, nabywać ziemię na własność, w ilości wszakże nieprzewyższającej 60 dzies. (w przybliżeniu 120 miary nowopolskiej) na jedną rodzinę. Korespondent mówi o dobrodziejstwie tego Ukazu dla drobnej szlachty polskiej, której na Wołyniu, Podolu i gub. Kijowskiej jest bardzo wiele. *Russk. Wiedomosti* utrzymują, że liczebnie biorąc, stanowi ta klasa [illegible] całego zaludnienia, a nie różni się niczem od włościan małoruskich, z wyjątkiem religii i języka. Dotychczas uprawiali oni drobniejsze działy gruntów na zasadzie prawa czynszowego, a w tych warunkach tymczasowości o polepszeniu ich bytu materyalnego mowy być nawet nie mogło. Wszystko to ulegnie zmianie, zważywszy, że rolnik, który nie posiada na prawie dziedzicznem, może być danego kawałka ziemi tylko wyzyskiwaczem bez jutra. Nie należy się też dziwić gorliwości, z jaką żywioły te pogarnęły się do tranzakcyj pieniężnych o nabywanie ziemi i dotąd wielu już otrzymało odpowiednie pozwolenia od generał-gubernatora kijowskiego. Zresztą 60 dziesięcin nie wszędzie stanowi jednako ważną jednostkę ekonomiczną; są zapewne miejscowości w guberniach litewskich, gdzie ten obszar skutkiem ubóstwa gleby nie pozwoli na wytworzenie warsztatu rolnego o poważniejszem dla produkcyi znaczeniu. Ale za to gub. Kijowska, Podolska i część Wołynia przedstawiają materyał naturalny, w którym dobrze zagospodarowane 60 dziesięcin może być zaliczone nie do małej, lecz właściwie do średniej własności ziemskiej.

Płock. Ostatnia burza, która szalała nad okolicą, najwięcej zniszczeń pozostawiła we wsiach: Golczewie, Ośnicy, Podolszycach i Imielnicy. Jak donoszą, dziś już zbite przez grad zboża koszą, aby z nich jakikolwiek zrobić użytek. W okolicach stacyj Mława i Konopki na drodze Nadwiślańskiej grad również spustoszył pola na znacznej przestrzeni. Powiat Sierpecki ucierpiał i od wylewów i od dżdżystej pogody, a ostatni tydzień sprowadził grady w wielu miejscowościach. Jednem słowem, gubernia Płocka należy do tych, które w roku bieżącym ucierpiały najbardziej.

KRONIKA.

Konkurs. Zarząd Salonu artystycznego ogłasza konkurs na wzory dekoracyjne z kwiatów i roślin. Ubiegającym się pozostawiono możliwą swobodę, tak co do pomysłu jak i środków wykonania. Utwory wraz z godłem i nazwiskiem autora w kopercie odsyłane być mają: Warszawa. Nowy Świat nr. 27 do dnia 1 października. Termin w dniu 15 listopada r. b. Dwie nagrody, pierwszą w wysokości rb. 200 — drugą — 100, przyzna sąd konkursowy; trzecia, także srebrna, naznaczoną będzie przez publiczność, zwiedzającą wystawione wzory, a to za pośrednictwem przygotowanych kartek, wrzucanych do puszki.

— Niezależnie od tych nagród, wyznaczonych przez zarząd Salonu artystycznego, ogłasza od siebie administracya zakładów przemysłowych w Żyrardowie dodatkowe dwie nagrody: pierwsza w kwocie 200 rb., udzieloną będzie za najlepszy, oryginalny wzór do tkaniny, którą fabryka wysłać zamierza na nadchodzącą wystawę paryską, druga również za wzór do wyrobu tkackiego. Artyści, pragnący przyjąć udział w konkursie, mogą już obecnie przejrzeć w kancelaryi Salonu próby wzorów, jakimi posługują się w przemyśle tkackim Zakłady Żyrardowskie.

Cło na metale. *Prawit. Wiest.* zawiadamia, że opłata celna od złota, srebra i platyny ustanowioną została jak następuje: *a*) od wszelkich neutralnych związków chemicznych złota i platyny po rb. 12 od puda i od takichże związków srebra po rb. 100 od puda; *b*) złoto w kawałkach, piasku i blasze, dostarczane jednorazowo w większej ilości, żadnego cła nie opłaca, za mniejsze zaś partye, których waga łącznie z opakowaniem nie przewyższa 90 doli, pobieraną będzie opłata w stosunku 7 rb. 50 kop. od funta; *c*) od srebra w bryłach, blasze i piasku ustanowioną jest opłata w stosunku 3 rb. od funta; *d*) wszelkie wyroby złote opłacają nadal cło w stosunku 66 rb. od funta, wszelkie zaś tkaniny i wyszycia złote po 10 rb. 80 kop. od funta. Kopalnie

dobywające srebro, opłacać mają stały podatek w stosunku 1 rb. 20 k. za każdy procent czystego srebra, zawartego w pudzie danej produkcyi.

Reforma monetarna w dniu 19 czerwca r. b. uzyskała Najwyższe zatwierdzenie. Nowa ustawa orzeka, że system monetarny rosyjski opiera się na walucie złotej i że jednostką pieniężną jest metal złoty, zawierający 17,424 doli czystego kruszcu. Ustawa powyższa uświęciła ostatecznie dokonaną już faktycznie reformę.

Weksle zagraniczne. Według projektowanej nowej ustawy stemplowej, blankiety weksli, przesyłanych z zagranicy jedynie celem akceptacyi, mogą być wypełniane bez opłaty stempla. (*Pet. Wied.*)

Okręgi górnicze. Królestwo Polskie będzie podzielone na sześć okręgów górniczych. Okręg I ma stanowić część powiatu Będzińskiego na wschód od linii dr. żel. Warszawsko Wiedeńskiej (t). od stacyi Ząbkowice—Sosnowice): okręg II: część tegoż powiatu od powyżej oznaczonej linii. W skład okr. III mają wejść gubernie Kaliska i Piotrkowska — ostatnia z wyłączeniem powiatu Będzińskiego. W okręgu IV mieścić się będą wszystkie zakłady górnicze gub. Kieleckiej. Takież zakłady w gub. Radomskiej należeć będą do okręgu V, a w okr. VI ma wejść reszta guberni Królestwa, a mianowicie: Warszawska, Płocka, Suwalska, Siedlecka, Łomżyńska i Lubelska.

Podymne. Na zasadzie Najwyżej zatwierdzonej uchwały Rady państwa, co do zastąpienia w guberniach Królestwa Polskiego podatku kwaterunkowego innymi, warszawska Izba skarbowa postanowiła. Podymne w miastach Królestwa Polskiego pierwszych trzech rzędów pobierać w wysokości 13 ½% od połowy rocznego brutto dochodu z domów. Dla tych zaś, w których dochód brutto nie przenosi 160 rb. rocznie, ustanowić podatek roczny w kwocie 8 rubli. Na zasadzie tego obliczenia właściciele domów w Warszawie opłacą podymnego 1,808,459 rb. Sumę należną za pierwszą połowę roku opłacić można bez kary w drugiej połowie r. b., mianowicie w październiku.

Odpowiedzi Redakcyi

Panu Z. D. we Lw. Nie nwaluiamy nawet poezyi od jasnej myśli. Pojedyncze wyrazy, zdania, zwrotki Pańskiego wiersza rozumiemy, ale całość brzmi nam taką skargą, jak np. skarga wiatru, o którym wiemy, że jęczy, ale nie wiemy — dlaczego? Niewątpliwy talent Pański powinien ściślej liczyć się z myślową stroną swych utworów.

Pani Maryi K. Pojedynczych zeszytów dzieł tych już nie posiadamy.

N. D. Niech syn Pani zwróci się do jakiegoś poważnego artysty, np. Rapackiego lub Frenkla, a z pewnością otrzyma dobrą radę.

SPROSTOWANIE. W przytoczonym przez p. A. Drogoszewskiego ustępie wiersza p. Karolego zaszła omyłka. Wiersz ten brzmieć powinien:

Kto w swej piersi nie ma skry zapału.
Łzy i ognia w swem zastygłem *oku* (a nie *łonie*).

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 9 Іюля 1899 г. Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.